AS



Nr. 36

8 WRZEŚNIA 1936 R.
CENA 40 GROSZY

✦

SPOJRZENIE ZZA KOTARY...

Gladys Swarthout, prima-



Największ łosi posiada Szwecja

Ilość upolowanych rocznie w Szwecji łosi, tych pięknych i rzadkich dziś zwierząt — zwanych „królami lasów" — wynosi ostatnio 6 tysięcy sztuk.

Pomimo że Szwecja jest krajem łosi i posiada ich bardzo wiele — wydano tam ostatnio nowe zarządzenie, ograniczające czasy polowań.

Jak z porównań i statystyk wynika Szwecja jest dziś jedynym krajem w Europie, w którym łoś nie jest rzadkością i gdzie żyją tak wielkie stada, pozwalające na odstrzał rocznie aż 6.000 sztuk.

Chorzy na gruźlicę nie powinni się żenić

Lekarze po długich obserwacjach stwierdzili, że chorzy na gruźlicę rodzice — względnie ojciec lub matka cierpiący na tę chorobę — stanowią dla dziecka poważne niebezpieczeństwo. Wprawdzie gruźlica nie jest chorobą dziedziczną — zauważono jednak, że dzieci gruźlików — choć zdrowe po urodzeniu — są specjalnie predystynowane do zakażenia.

O ile chorym jest ojciec — dziecko narażone jest na niebezpieczeństwo w mniejszym stopniu. Chora matka, stykająca się z dzieckiem ustawicznie, karmiąca go i opiekująca się niem — prawie zawsze zaraża młody organizm. Kobiety chore na gruźlicę powinny ponadto wiedzieć, że ciąża dla nich jest niezwykle niebezpieczna i że w wielu wypadkach kończy się tragicznie. W celu zabezpieczenia młodych organizmów przed tą straszną chorobą, jaką jest gruźlica, przeprowadza się ostatnio skuteczne szczepienia ochronne metodą Calmette-Guerin. Szczepienie winno nastąpić w parę dni po narodzeniu się dziecka — przyczem musi ono być odseparowane od ludzi podejrzanych o gruźlicę — gdyż tylko w warunkach gwarantujących zupełną aseptykę można uważać szczepienie za skuteczne.

Te uwagi i ostrzeżenia będą uzasadnione, jeżeli się weźmie pod uwagę, że w Polsce istnieje chorych na grulicę 800 tysięcy osób, i że rocznie umiera na tę chorobę 75 tysięcy osób.

Jeden samochód na 5 mieszkańców i na 1262 mieszkańców.

Na podstawie statystyk, obrazujących stan motoryzacji, okazało się, że pierwsze miejsce co do ilości samochodów w stosunku do ilości mieszkańców, zajmują Stany Zjednoczone, gdzie przypada 1 samochód na 5 mieszkańców. Drugie miejsce zajmuje Francja, 1 samochód na 22 mieszkańców — potem Anglja, Danja, Szwajcarja, Belgja, Szwecja, Norwegja, Holandja, Niemcy, gdzie 1 maszyna przypada na 75 mieszkańców. Dalej idą: Włochy, Finlandja, Hiszpanja, Czechosłowacja itd. Jeżeli weźmie się ilość samochodów, przypadającą na 1 km^2 terytorjum danego kraju, to pierwsze miejsce zajmuje tu Anglja, gdzie na każdy kilometr kwadratowy przypada aż 714 samochodów. Dla porównania warto podać, że w Polsce na takim samym obszarze mamy zaledwie 7 samochodów i że jeden samochód przypada na 1262 Polaków... Porównanie co najmniej przykre!...

Nowa maszyna do budowy szos

Do wyrównywania podkładów kamiennych pod nawierzchnie asfaltowe i betonowe, czy też do budowy szos — używano dotychczas, jak wiadomo, ciężkich walców parowych lub benzynowych. Ostatnio jednak zastosowano zagranicą do tego celu maszynę o zupełnie odrębnym wyglądzie i nowej konstrukcji. Maszyna ta nie toczy się po drodze. Przypomina ona cyilnder o dwumetrowej wysokości i metrowej średnicy. Cylinder ten jest wyposażony wewnątrz w urządzenie przypominające silnik spalinowy. Wybuchy mieszanki benzynowej czy ropnej wewnątrz opisanego cylindra powodują podrywanie się i opadanie tegoż. Znaczny ciężar „baby" i jej skoki doskonale spełniają zadanie kosztownych i trudnych do transportu walców. Cylinder zaopatrzony jest w prowadzenie, które pozwala na łatwą obsługę. Nowa maszyna jest tania — zapewnia łatwą konserwację i wyklucza skomplikowane defekty.

Królowie kojarzą małżeństwa

Jak uczy historja, nietylko nasze ciotki i starsze paniusie podlegają manji kojarzenia małżeństw i mieszania się do cudzych spraw sercowych. Szczególną manją w tym kierunku odznaczali się także potężni władcy, którzy, czy to z zamiłowania, czy z nudy i dla rozrywki, czy wreszcie dla przeprowadzenia wątpliwej wartości eksperymentów, swatali wiele osób z pośród swego otoczenia.

Król francuski Ludwik XIV, przypatrując się kiedyś występującym na festynie dworskim karłom — postanowił wychować rasę minjaturowych ludzi przez kojarzenie liliputów między sobą. Król szybko przystąpił do realizacji dziwacznego pomysłu. Po jakimś czasie jednak okazało się, że eksperyment nie udał się. Dzieci liliputów przeważnie rosły szybko i rychło przekroczyły wzrost swych małych rodziców.

Ludwik XIV nie zrażony niepowodzeniem postanowił specjalnie dobierać małżeństwa z pośród ludzi odznaczających się piękną budową ciała i czarujących nadzwyczajną urodą. Nie chodziło tu zupełnie o małżeństwa z tej samej sfery. Małżonkowie musieli być piękni. O ile można wierzyć kronikom, potomstwo tak dobranych stadeł odznaczało się rzeczywiście niezwykłą urodą. Zwłaszcza dziewczęta zachwycały niecodzienną pięknością.

Mniej miłe zwyczaje miał despotyczny władca Rzymu — cesarz Neron. Władca ten wybierał najbardziej niedobranych ludzi — by wiązać ich w małżeństwa. Im większy był kontrast między małżonkami, tem większa przyjemność cesarza. Znanym jest fakt, że młody i przystojny szlachcic rzymski, który naraził się Neronowi — był zmuszony poślubić starą żebraczkę — bez nosa i rąk, by salwować swe życie. Podobno Neron wyprawił tej „dobranej" parze huczne wesele i sam bawił się na niem doskonale.

Tenże Neron, przyglądając się kiedyś przechodzącym pojmanym chrześcijanom, zauważył kobietę, która wzrostem swym przewyższała przynajmniej o dwie głowy swe otoczenie. Niedługo potem odbył się ślub nadwornego wesołka cesarza, karła, z wspomnianą kobietą. Także Napoleon I lubiał pomagać Amorowi. Będąc jeszcze porucznikiem w Auxonne, skojarzył on pierwsze małżeństwo. Jako cesarz, Napoleon ożenił swych braci, siostrzeńców i wydał za mąż siostry.

Niejednokrotnie cesarz tak odzywał się do swych oficerów: „Czy nie zechciałbyś mój generale poślubić panny X?" Generał był oczywiście olśniony propozycją, a cesarz zjawiał się u owej damy i mówił jej: „Generał mój jest w Pani po uszy zakochany! Wszak nie odmówi mu pani ręki?" Pani oczywiście ręki nie odmawiała i w krótkim czasie odbywał się ślub.

Najstarsze osiedla i miasta świata

Wędrujące hordy praludzi nie zakładały stałych osiedli. Dlatego też najstarsze odkryte i znane osiedla są stosunkowo „młode", jeżeli porównamy je z czasem istnienia człowieka. I tak przedhistoryczne osiedle strzelców, polujących ongiś na słonie, odnalezione w Hiszpanji pod Torralbą, jest bodaj najstarsze. Do najstarszych istniejących jeszcze miast zaliczyć należy Mzehet na Kaukazie, które to miasto już na 2000 lat przed Chrystusem było stolicą Gruzji. Powstało ono po Memfisie, ale przed Babilonem i istniało już, kiedy zniknęły z powierzchni ziemi Sodoma i Gomorra, co miało miejsce prawdopodobnie około 1750 r. przed Chr.

Jako jedno z najstarszych osiedli uważa się również Akropol w Wan w Armenji. We wszystkich częściach świata istnieje wiele starożytnych miast. Naprzykład Kioto od r. 793 do 1808 było bez przerwy rezydencją japońską. W Europie najstarsze miasta zawdzięczają swoje powstanie kolonizacji starożytnej Grecji, a potem Rzymu.

Któż wie np., że nasz mały Kalisz znany był już w starożytnych czasach i wspominany w geografji takiej powagi, jak Ptolomeusz.

Wiele miast zniknęło z powierzchni ziemi. Troja odnaleziona w końcu ubiegłego stulecia znajdowała się pod niepozorną wioską. Niniwa i Babilon przepadły. Puszcza zburzyła i zatarła ślady sławnego i olbrzymiego miasta Anuradhapury na Cejlonie, z którego jakaś tajemnica wygnała ludzi. Ten sam los spotkał zagadkowe miasta Poł. Ameryki, a kulturę ich mieszkańców zagarnęła puszcza.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 36 **Niedziela 6 września 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 36-GO:



Fot. Z. Woźniak, Kraków.

Paweł Prokopieni, doskonały bas-baryton, którego przedstawił polskiej publiczności Jan Kiepura podczas pamiętnego festivalu na Wawelu, odbywa obecnie, przed wyjazdem do Rzymu, tournée po większych miastach Polski z pożegnalnymi koncertami. Występy artysty w Krynicy i w Zakopanem spotkały się z niezwykle serdecznem przyjęciem publiczności, oklaskującej żywo szereg pieśni i aryj operowych po mistrzowsku wykonanych przez Prokopieniego. Na zdjęciu artysta w insygniach orderu św. Jerzego.

HARLEM

metropolia czarnej rasy



Na lewo: Dr. Robert R. Moton, kierownik zakładów wychowawczych w Tuskegee. (Według portretu W. Reissa).



Jean Toomer, poeta murzyński o skórze jasnej jak u rasowego nordyka.



Na prawo: Elissa Johnson Mc. Dougald, przywódczyni murzyńskiego ruchu kobiecego. (Według portretu W. Reissa).

W Nowym Jorku, między piątą i ósmą Avenue, a 125 i 145 ulicą, leży Harlem, miasto murzynów.

W kwadracie tym żyje ponad 300.000 murzynów wszelkich odcieni: hebanowoczarni, brązowi, mahoniowi, cytrynowożółci i prawie zupełnie biali, z włosami kędzierzawemi i gładko przyczesanemi, czarnemi, a nawet jasnemi. Rasowi i mieszańcy: córy i synowie Irlandczyków, Rosjan, Meksykańczyków, Szwedów, Chińczyków i Indjan.

Ale wszyscy mają w żyłach swych mniej czy więcej krwi murzyńskiej!

Harlem, to największe na świecie skupisko murzyńskie. światowa metropolia murzynów.

Dzisiejsza czarna dzielnica Nowego Jorku była pierwotnie zamieszkaną przez Holendrów, potem przez Irlandczyków, a ostatnio była dzielnicą niemieckich emigrantów. Każda narodowość, opuszczając Harlem, zabierała ze sobą wszelkie emblematy narodowe, uwoziła swe melodje, tańce, obrzędy i — swe narodowe zapachy. Dziś Harlem jest wyłącznie murzyńskie, przeszłość jego nie pozostawiła żadnych śladów, niczego, coby przypominało dawnych mieszkańców. Murzyn panuje tu niepodzielnie, ostry zapach jego skóry czuć w powietrzu — jak twierdzą Amerykanie.

Żyją jeszcze starzy Nowojorczycy, którzy pamiętają ten ostatni, niemiecki Harlem, z jego „gospodą pod brunatnym koniem", lub „pod lipą", gdzie schodzili się poważni, ciężcy koloniści niemieccy, by przy bawarskiem piwie i westfalskiej szynce z kwaśną kapustą, z długą porcelanową fajką między zębami, spędzać sobotnie wieczory. Dziś miejsce tych gospod zajęły bary i drug-stores z ice-drinks, sączonemi przez słomkę.

Końcem ubiegłego wieku było Harlem najbardziej upośledzoną dzielnicą Nowego Jorku. Jego mieszkańcy uskarżali się bardzo na złe połączenia tramwajowe i kolejowe z handlowym ośrodkiem dolnego miasta. Kto mógł, wyprowadzał się. Domy stały pustką.

Wtedy to pewien czarny makler Philipp A. Payton, zaproponował zrozpaczonym właścicielom kamienic, by opróżnione mieszkania wynajmywali kolorowym. Chwilę wahano się, lecz business is business — i odtąd rozpoczął się masowy przypływ czarnych synów Afryki.

Zajęli oni najpierw niektóre domy, później całe ulice, wreszcie całe bloki. Nim biali się zorjentowali i uderzyli na alarm, było już za późno. W mig powstały murzyńskie towarzystwa finansowe, wykupujące domy i parcele, by oddać je na użytek kolorowym. Wszędzie tam, gdzie trzeba było pomóc czarnemu człowiekowi, były one na miejscu. Bo murzyn, pogardzany i znienawidzony parias amerykańskiego społeczeństwa, wolał oczywiście mieszkać wśród swoich, równie czarnych jak on i równie upośledzonych, zaś czarni kapitaliści chętnie mu pomagali, widząc w tym dobry interes.

Mimo to na początku wojny światowej mieszkało tu tylko 25.000 kolorowych. Wielka czarna fala przypłynęła dopiero w czasie wojny, gdy dzięki wzmożonej fabrykacji amunicji i materjału wojennego, wzrósł popyt na tanie ręce robocze. Potrzebowano dużo, bardzo dużo rąk i głośno o nie wołano. Przychodziły tysiące, dziesiątki tysięcy murzynów, dobrych i tanich robotników, ze Stanów Południowych, z Zachodnich Indyj.

A gdy przestano fabrykować pociski, broń i różnoraki sprzęt wojenny i chciano murzyna odesłać do domu, nie poszedł. Spodobało mu się duże, ruchliwe miasto, uczepił się go i pozostał.

I dziś każdy dwunasty Nowojorczyk ma w swych żyłach krew murzyńską. Harlem przestało być dzielnicą, jak wiele innych, stało się kompletną, w sobie zamkniętą maszynerją socjalną, czarnem miastem.

Nowy Jork nadawał się zresztą doskonale na metropolię murzyńską. Stanowi on najważniejszą bramę wypadową do Ameryki, w porcie jego zbiegają się prawie że wszystkie szlaki komunikacyjne między Starym a Nowym Światem, pełno tu obcych przybyszów, emigrantów, turystów i kupców, łatwo o zarobek, a przedewszystkiem, co może było decydującem, odwieczny antagonizm między białym a murzynem jest tu o wiele słabszy, powiedziałbym: kulturalniejszy, niż np. w Stanach Południowych, ojczyźnie lynczu i Ku-Klux-Klanu. Świadczą o tem cyfry. Według statystyki uniwersytetu murzyńskiego w Tuskegee (Alamba), notowano w Ameryce w r. 1935 dwadzieścia wypadków lynczu na murzynach (wobec piętnastu wypadków w r. 1934, a dwudziestu ośmiu w 1933 r.). Z wyjątkiem dwóch wypadków w Kalifornji, wszystkie miały miejsce w Stanach Południowych.

To też Harlem stało się trzecią ojczyzną czarnego człowieka. Gdy go z Afryki sprzedano Stanom Południowym, nie miało to dla niego większego znaczenia. Poprostu jedną chatę słomianą przemienił na



Ruch uliczny w centrum Harlemu.

Fot. dr. P. Wolff

inną. Potem przyszedł koniec niewolnictwa i amerykańskie obywatelstwo. To już coś znaczyło! I nagle ten olbrzymi skok: mieszkać w kolosach żel-betonowych, których piętra liczy się na dziesiątki, codzienna kąpiel, przejazd do miejsc pracy w olbrzymich tunelach podziemnych — i wszelkie tym podobne cuda. Czarny człowiek najpierw wytrzeszczył oczy z podziwu, lecz potem z tym swoim zakłopotanym, dziecięcym uśmiechem, zaczął się przyglądać i przysłuchiwać. Widział białego, z wyniosłym, pańskim grymasem, który to wszystko stworzył, i który dlatego był przedmiotem podziwu w oczach murzyna. A więc trzeba się do niego upodobnić, trzeba żyć jak on, czynić to, co on czyni. Może w ten sposób zdoła się wyrównać przepaść, dzieląca czarne popychadło od białego pana świata. Cichy, nieśmiały podziw murzyna zmienił się w głośny, zdecydowany krzyk:

— I too! I too!

— Ja także chcę być takim! Ja też!

Ten żywiołowy, pierwotny pęd do mimikry, do przystosowania stworzył, że Harlem stało się dokładną kopją amerykańskiego wzoru kulturalnego. Kopiuje się go z największą dokładnością, bez jakiejkolwiek krytyki — przynajmniej aż do niedawna. Kościoły, szpitale i banki, szkoły i bary, kluby, towarzystwa i loże, stowarzyszenia kobiet, instytucje naukowe i lokale rozrywkowe — wszystko, wszystko w mieście murzyńskiem jest całkowicie podobnem do jego ideału: Nowego Jorku.

Na każdym kroku są jeszcze widoczne owe kręte ścieżki, któremi potężna wola do życia niezużytego narodu pięła się ku górze. W spelunkach Harlemu i w suterenowych kabaretach, których próg rzadko tylko



Walter Richardson, słynny aktor Harlemu.



7-Avenue, główna ulica handlowej dzielnicy Harlemu.

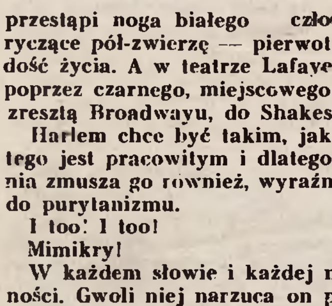
przestąpi noga białego człowieka, wyżywa się nocą przy ginger-ale ryczące pół-zwierzę — pierwotny człowiek, wykrzykujący głośno swą radość życia. A w teatrze Lafayette, przy Avenue Lenox, wzniesiono się już, poprzez czarnego, miejscowego autora i poprzez sensacyjny kicz, na wzór zresztą Broadwayu, do Shakespeara, Ibsena, Wilda i Shawa.

Harlem chce być takim, jak Nowy Jork. Dlatego jest hałaśliwym, dlatego jest pracowitym i dlatego także jest pobożnym. I ta wola dorównania zmusza go również, wyraźnie wbrew naturalnym swoim skłonnościom, do purytanizmu.

I too! I too!

Mimikry!

W każdem słowie i każdej myśli czarnego, wibruje to pragnienie równości. Gwoli niej narzuca on przemocą hamulce swej gorącej krwi — tej krwi, która jest właśnie pierwszą przeszkodą równości, która wniwecz obraca jego najrozpaczliwsze wysiłki dostosowywania się i dorównania. Lecz czarna fala ciągle załamuje się na tej tamie, którą wzniósł biały człowiek między sobą a murzynem. Załamuje się i rozdziela równocześnie.



Jeśli bowiem u jednych bezowocność wysiłku budzi tylko coraz to większe, coraz żarliwsze pragnienie osiągnięcia celu, to u innych wznieca hardość i dumę rasową. Gardzą oni ciągłemi wypadami na szańce białego człowieka, odmawiają swego współudziału, nie chcą być niczem innem, jak tem tylko, czem są: murzynami.

Na lewo: As sportu Jesse Owens na starcie.

Do pierwszej grupy zaliczają się przeważnie — nie zawsze — ci, którym natura dała jaśniejszy odcień skóry. Niektórzy z nich są tak łudząco „białymi", że długie nawet obcowanie z nimi nie budzi podejrzenia co do ich odmienności rasowej. Dopiero w któremś z dalszych pokoleń znów czarna ich krew zatriumfuje i wyciśnie na skórze potomków swe czarne piętno. Mimo to niektórym z nich udaje się przemycić przez ową granicę między białym a czarnym i giną w tłumie po drugiej stronie.

Słabszym, bardziej nieśmiałym i bojaźliwym, brak odwagi, by zupełnie zignorować swe pochodzenie. Rzadko tylko, gdy nie grozi to możliwością przykrych następstw, decydują się na przekroczenie tej granicy, przemilczając swą kolorowość, np. gdy wymaga tego interes, lub z okazji jakiegoś

Dokończenie na str. 7-mej



Mary Douglas, gwiazda czarnej rewji Harlemu.

Gaudeamus igitur...

Dziwny jakiś urok tkwi w patyną pokrytych gmachach starych uniwersytetów. Są one jakoby symbolami wiedzy ludzkiej i często myśl o bezimiennych zdobyczach nauki kojarzy się z temi odwiecznemi siedliskami kultury. Tradycja, która otacza uniwersytety jest chyba najszlachetniejszą jej formą, tradycją wiedzy i pracy. Gdy błądzimy po mrocznych korytarzach, po surowych w swej prostocie salach wykładowych, laboratorjach i pracowniach, trudno się oprzeć wspomnieniom o tych wszystkich, którzy tu żyli i pracowali, którzy z katedr wykładowych głosili teorje, zmagali się z przeciwnościami na drodze swych prac odkrywczych w laboratorjach, tworzyli fundamenty wiedzy w żmudnym wysiłku. Każda zdobycz, każde osiągnięcie tu uzyskane, każda idea nowa i śmiała, która się tu zrodziła, to tylko jeden krok naprzód na wspólnej drodze poszukiwań.

Gdy rozzłocą się liście kasztanów, gdy spurpurowieją klony, a mgły się zaczną snuć między drzewami w uniwersyteckim ogrodzie, wtedy stary gmach uczelni budzi się do życia po swym śnie letnim. Otworzą się szeroko zczerniałe dębowe bramy na przyjęcie nowych zastępów pragnących nauki. Powrócą dawni studenci, doświadczeni, „stare wiechy“, którzy czują się tu już jak w domu, przyjdą ci najmłodsi — „fuksy“, świeżo upieczeni akademicy, trochę nieśmiali jeszcze, ale radośni swobodą, czupurni świeżo „opatentowaną“ dojrzałością. Zabraknie jeno tych, co pracowali tu za lat ubiegłych, absolwentów i doktorów. Odeszli oni już w świat, szukać pola ekspansji dla zdobytej wiedzy.

Uniwersytety mają swe obrzędy i uroczystości, uświęcone wiekową tradycją, otoczone pełnym godności ceremoniałem. Gdy w uroczyste dni kroczy senat strojny w togi, birety i łańcuchy, poprzedzany przez pedelów, niosących berła, czyni to wrażenie jakiegoś pochodu z czasów średniowiecza. Tradycja jest wielką rzeczą. Gdy w gotyckiej, pełnej dostojnego przepychu auli, spoglądamy na portrety dawnych rektorów i zasłużonych ludzi i gdy pomyślimy o tem, czego oni dokonali, rozumiemy konieczność tradycyjnej ciągłości.

Jest jakiś kontrast między wiekową powagą uniwersyteckich murów, a młodością studentów, którzy je zaludniają. Mijają lata, wieki, a w gmachu Alma Mater żyją zawsze młodzi, do nich czas nie ma dostępu, gdyż zmieniają się oni w swych studjach, jak żołnierze na warcie, coraz nowe zastępy luzują odchodzących, którzy oddają im swą radosną młodość.

Każdy wiek, każda epoka stwarza swój typ studenta, jest on wyrazem ducha swych czasów, sejsmografem czułym na wszystkie prądy, nurtujące współczesność. Po gotyckich krużgankach uniwersyteckiego podwórca snują się cienie żaków średniowiecznych, duchów niespokojnych, którzy łączyli w sobie pragnienie wiedzy z temperamentem włóczęgów i szaławiłów. Trudni do utrzymania w karności, niebezpiecznym byli



Studenci amerykańscy, to całkiem coś innego! Przed każdym gmachem uniw. w U. S. A. stoi w godzinach wykładowych sznur samochodów, oczekujących na swych właścicieli. U nas samochód, to atrybut „możnych tego świata“, który stoi w jaskrawej sprzeczności z przysłowiową „chudą farą“ akademika.

żywiołem, czynnym we wszystkich zamieszkach i ruchawkach ulicznych. Byli oni potrosze cyganerją swej epoki — towarzysze rybałtów i igrców, włóczędzy gościńców, przemierzali drogi Europy w poszukiwaniu wiedzy i przygód.

Wyłoni się z za narożnika niespodziewanie, strojny w szamerowany frak, wysokie



Średniowieczni studenci wędrowali za nauką z miasta do miasta. Przygody ich dostarczyły tematów do romantycznych baśni i klechd.

lakierowane buty, z niedbale na bakier nałożoną czapeczką, bursz, hulaka, zawadjaka i pustak, symbol beztroski, hucznej wesołości studenckiego życia. Niema w nim nic z dzikiej, namiętnej awanturniczości żaka średniowiecznego, zastąpił ją dowcipem i wesołością, płynącą z radości życia, ufnie patrzy w świat, pewny swej młodej zdobywczej siły. Znają go stare winiarnie, ładne dziewczęta i podmiejskie ogródkowe piwiarnie, a gdy zniknie, zostanie po nim piankowa fajka na długim cybuchu, piosenka, gitara ze spłowiałą wstążką i pęk zasuszonych kwiatów, zapomnianych w uczonem dziele.

Ci, którzy po nim przyjdą, nie będą już tacy beztroscy. Gnębią ich problemy, studjują życie od podstaw i dyskutują w swych studenckich czwartakach. Będą oni szukać nowych dróg dla ludzkości, rozwiązywać zawiłe zagadnienia, są przesiąknięci wiarą w ideały, pragną poruszać z posad ziemię.

Przychodzą inni, coraz to inni, niby tylko o rok młodsi, a nim się oglądną, to już śladu po dawnych nie zostało — odeszli ze swemi pragnieniami w świat. Tych nowych

Poniżej: Oto grupa typowych „burszów“, którzy przy wysokich kuflach, pełnych ciemnego monachijskiego piwa, opowiadają sobie wesołe anegdotki.

Wszystkie rysunki: WITOLD MARS — LWÓW

Poniżej: Życie akademickie się rozpoczyna! Rector Magnificus w asystencji dziekana i prodziekana (z boku pedel) otwiera uroczyście w auli rok szkolny.





nie zajmują już tak do głębi problemy, w ich życie wkradł się nowy motyw: sport. W przerwach między wykładami mówią o rekordach, treningach, meczach i zaprawie, połączą zawody sportowe z uniwersytetem i stworzą mu nową tradycję — tradycję sportu.

Te lata studjów, to przeradzanie się chłopca w mężczyznę, nauka samodzielnego myślenia, pracy, życia. Czas ten, to okres żmudnych trudów i beztroskiej wesołości, zapału i wiary w ideały, to szczęśliwe ufne lata, gdy cały świat wydaje się czekać na swego zdobywcę.

Wreszcie nadchodzi ta ostatnia wiosna, gdy opuszcza się na zawsze stare, kochane mury, które dotychczas były całym światem wspólnej pracy, przyjaźni, ambicji i wysiłku. Uniwersytet był tym dniem codziennym, najważniejszem zagadnieniem, wszystko robiło się dla niego i z myślą o nim, a teraz ten świat zaczyna się zmniejszać, kurczyć się do rozmiarów zwykłego budynku, gdzie jednak mieszka najlepsze wspomnienie. Jeszcze ostatnie dni wysiłku, jeszcze ostatnie bezsenne noce, spędzone na nauce, a potem pożegnalna uroczystość, słowa przysięgi i skrzyżowane berła z godłami uniwersytetu... no i trzeba ruszać w wielki świat.

Lecz gdy po wielu latach spotyka się kogoś z kolegów, gdy wróci się wspomnieniem w ten beztroski kraj młodości, to na usta cisną się słowa niezapomnianej pieśni: Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus...

Witold Mars.

HARLEM — METROPOLIA CZARNEJ RASY.

(Dokończenie ze str. 5-ej).

wesołego wieczoru na Broadwayu, czy też dla odwiedzenia wytwornej restauracji lub teatru.

A oto ci inni, ci hardzi i dumni, którzy gardzą takiemi podstępami i wszelką próbą podejścia do białego człowieka. Mimikry, to dla nich wyrzeczenie się własnych wartości. A murzyn posiada wiele cech, jemu tylko właściwych, które warto pielęgnować i rozwijać!

Jedną z tych najbardziej świadomych swej odrębności rasowej w Harlemie to Leila Walker, ciemno-brunatna amazonka, sześć stóp wysoka królewska postać! Walkerowie, to Rotszyldowie Harlemu. Ojca zlynczowano. Matka wynalazła środek do wygładzania zdradliwych, wełnistych włosów murzyńskich i zarobiła kilka ładnych miljonów dolarów. Z pieniędzy tych kupiła sobie posiadłość ziemską w Irvington. Wdowa po zlynczowanym murzynie uparła się zostać sąsiadką Rockefellera, przebywającego również w Irvington! No i została!

Zamordowany ojciec, salony piękności przedsiębiorczej mamy, dumna samotność córki — oto to, co reprezentuje los czarnej rasy w Ameryce!

Leila Walker jest murzynką prawdziwą, bez przymieszki innej krwi. I jest dumną z tego, uważa się za arystokratkę krwi! Według niej tylko czarny murzyn jest murzynem. I zamiast powszechnego w Ameryce podziału na białych i kolorowych, uznaje inny podział: na murzynów, mieszańców i białych.

Czarnym rasowym murzynem jest także dr Robert R. Moton, zwany Rooseveltem murzynów. Jest on kierownikiem uniwersytetu i zakładów wychowawczych w Tuskegee, które rocznie przygotowują kilka tysięcy czarnych, młodych ludzi obojga płci do praktycznych zawodów w przemyśle, rolnictwie i gospodarstwie domowem. Każdy uczeń, opuszczający zakład, wynosi obok doskonałego, fachowego wykształcenia i sporego zapasu wiadomości ogólnych, uświadomienie swej odrębności rasowej i znajomość swej krwi.

O równouprawnienie czarnych kobiet walczy Elisa Johnson Mc. Dougald, będąca doskonałym przykładem świetnych wyników, jakie może dać szczęśliwy związek krwi dwóch odrębnych ras.



Gwiazda music-hallów, Józefina Baker jest dzieckiem Harlemu.

Nie będzie przesadą twierdzenie, że dziś już większość murzynów, przebywających stale wśród białych, zaniechała swą pierwotną taktykę upodabniania się do Europejczyka, celem zmieszania się z nim. Ta rasa, której ojczyzną jest olbrzymi, odrębny kontynent, która stanowi poważny odsetek mieszkańców naszego globu, a która przez długie wieki była tylko zwierzęciem roboczem, pogardzanym pariasem białych ludzi, rozpoczęła nową fazę rozwoju. Skonsolidowała się, skrzepnęła w sobie, zrozumiała, że przepaść, którą ustanowił biały między sobą a murzynem, nie jest tylko różnicą kultur, lecz przedewszystkiem różnicą zasadniczą, krwi i rasy. Przyjmując prymat kultury europejskiej, stara się ją sobie przyswoić, lecz po to tylko, by zaszczepić ją na własnem, odrębnem podłożu i wyhodować nową kulturę, lepszą — jak sądzi.

Dziś są to jeszcze początki, skromne i mało ważne, niemniej odzywają się już coraz częściej głosy o „kolorowem niebezpieczeństwie"

Już teraz zresztą jesteśmy świadkami przenikania wpływów azjatyckich do naszej kultury. Najsilniejsze bowiem tamy międzyrasowe, najenergiczniejsza obrona przed obcemi wpływami, nie obroni przed zmieszaniem się kultur, przed ich wzajemną dyfuzją. Już dziś elementy murzyńskie, z ich prymitywną żywiołowością, wycisnęły mocne i niezatarte piętno na sztuce, zwłaszcza teatrze, muzyce i tańcu.

A czem jest murzyn w sporcie amerykańskim — sport zaś, to dla Ameryki wielka rzecz, może nawet większa, niż jakieś wpływy kulturalne, zresztą najczęściej utożsamia się go poprostu z kulturą — to okazała ostatnia olimpiada. W lekkiej atletyce czarni zdobyli większość medali, wywalczonych przez Amerykanów. Siedem razy sztandar amerykański uroczyście powiewał z olimpijskiego masztu zwycięzców, siedem razy orkiestra grała hymn Stanów Zjednoczonych, dzięki murzynom... Zaś rekord świata pod względem zdobytych medali zdobył czarny as sportu, Jesse Owens! Amerykanom nie bardzo się to podobało, lecz wola zwycięstwa kazała zapomnieć o uprzedzeniach rasowych, przynajmniej na czas olimpiady, chociaż i tu już dawali oni niejednokrotnie czarnym swoim reprezentantom w dość dotkliwy sposób odczuć swą niechęć. A ledwie tylko olimpjada się skończyła, pierwsze co uczyniono, to zdyskwalifikowano Owensa pod jakimś tam błahym pozorem!

Lecz mówiąc o „niebezpieczeństwie kolorowem", nie chodzi już dziś o owe — może nawet korzystne — wpływy kulturalne, ani o przewagę murzynów w sporcie. Mówi się głośno o wyzwoleńczej walce ludów kolorowych z pod jarzma białego człowieka. Murzyn, to tylko jeden drobny fragment tego ruchu. Rasa czarna i żółta, Hindusi, a przedewszystkiem wyznawcy islamu, prą już dziś wyraźnie do decydującej rozgrywki. Czy stara nasza kultura będzie miała na tyle sił i okaże się na tyle żywotna, by przetrwać ten ferment?

Wiktor Micherdziński.

CZY rośliny „myślą“?

Wielu ludziom wydaje się niedorzecznem zdanie, że rośliny mogą myśleć albo czuć, chociaż i są tacy, którzy przyjmują, że roślina ma czucie, podobnie jak inne żywe twory przyrody. Każdy, nawet nie przyrodnik bez specjalnego laboratorjum lub przyrządów może wprost w przyrodzie poczynić szereg obserwacyj, które z pewnością zaciekawią go i zainteresują, a zarazem dadzą powód do zastanawiania się, czy też rośliny rzeczywiście myślą.

Wiele przykładów ze świata roślinnego zdaje się świadczyć o inteligencji roślin.

W Alpach spotykamy małą, skromną roślinkę, noszącą nazwę lnicy bluszczykowatej (Linaria cymbalaria), porastającą niekiedy także stare mury. Jej niewielkie, delikatnie na kolor lila zabarwione kwiaty, wyglądają jak gdyby małe hełmy. Roślina ta żyje na skałach i tam na urwistem zboczu, zapuszcza korzenie głęboko w szczelinę. W tak ciężkich warunkach musi się ta roślina także rozmnażać, co nie jest rzeczą łatwą. Kwiaty lnicy przystosowane są do odwiedzin owadów, które przenosząc pyłek z jednego kwiatu na drugi pośredniczą w zapyleniu i przyczyniają się do zawiązania przez roślinę owocu. Muszą więc być widoczne, aby skrzydlaci sprzymierzeńcy ze świata owadziego bez trudu mogli je ujrzeć. I cóż ciekawego możemy zauważyć u tej rośliny? Oto szypułki kwiatowe rosną i wydłużają się, oddalając się od skalnej ściany jak tylko można najbardziej, tak, że kwiaty stają się dostatecznie widoczne, aby zwabić do siebie owady. Przyrodnik nazywa ten ruch, wykonany przez roślinę w kierunku światła „fototropizmem dodatnim“.

Jakież zachowuje się roślina, gdy kwiaty jej zostaną już zapylone? Gdyby szypułki kwiatowe pozostały w niezmienionem położeniu, musiałyby nasiona wypaść w przepaść, gdzie uległyby zagładzie. Na jakiż zatem „pomysł“ wpada roślina, aby ratować byt swego gatunku? Po zapyleniu, szypułki kwiatowe zmieniają dotychczasowy kierunek wzrostu i zaczynają zwracać się ku skalnej ścianie. Co więcej, dotykają ściany tak długo, aż wreszcie natrafią na dogodną szczelinę. Wtenczas dopiero wciskają się w nią i w bezpiecznem miejscu umieszczają swe owoce. Gdy owoce dojrzeją, szypułki usychają, a nasiona wysypują się na żyzną, próchniczą glebę, wypełniającą szczelinę i zaczynają kiełkować.



Na lewo: Na wyspach malajskich rośnie t. zw. mrówczelina (Myrmecodia) współżyjąca z mrówkami.

Czyżby roślina myślała? Czy kieruje się ona instynktem? Lub może ruchy jej są dziełem przypadku?

Nie jest to jednak jedyny wypadek takiego zachowania się rośliny — nietylko lnica wykonuje tego rodzaju „myślące“ ruchy — podobnie czynią to tysiące innych roślin.

Zwróćmy np. uwagę na dziewięciornik błotny (Parnassia palustris), miłą roślinkę o ładnych, białych gwiazdkowatych kwiatach, ukazującą się w sierpniu na wilgotnych łąkach, torfowiskach, a także i wilgotnych skałach.



Kwiaty dziewięciornika błotnego (Parnassia palustris) z fałszywymi miodnikami.

Kwiaty jej są zapylane również przez owady (różne gatunki much). Nie mają one nektaru dla przyciągania do siebie owadów; muszą więc sobie w inny sposób radzić. Oto zwodnicze ich kwiaty zwabiają do siebie muchy imitacją miodników. Oprócz bowiem pręcików i słupków widoczne są w kwiatach grupy jakgdyby świeczników, składających się z szeregu ramion, zakończonych żółtemi, kuleczkowatemi niby gruczołami, które lśnią w słońcu i zdają się być pokryte miodem. „Pomysł“ rośliny jest doskonały. Muchy bowiem nie poznają się na podstępie i tłumnie przylatują do kwiatów, dokonując zapylenia, tak dla rośliny ważnego.

Wiadomo też powszechnie, że drzewa eukaliptusowe sięgają korzeniami swemi do najdalszych i najbardziej ukrytych żył wodnych. Sadzi się je nawet tam, gdzie chodzi o odwodnienie terenów, zwłaszcza malarycznych. Interesującem jest zachowanie się tych drzew w wypadku, gdy korzenie ich natrafią na przeszkodę, o czem świadczy następujący przypadek: jedno z drzew, rosnące w pobliżu kanału, wydało korzeń, biegnący w kierunku kanału, o długości 20 metrów. Gdy korzeń ten natrafił na przeszkodę w postaci muru, nie mógł już drążyć w dół. Zmienił wtenczas kierunek, rosnąc ku górze tak długo, póki nie natrafił na otwór o średnicy około 30 cm. Z chwilą, gdy przedostał się przez ten otwór, zaczął znowu róść na dół, w kierunku ciągnącego się kanału, póki go nie dosięgnął. Czy była to „przemyślana“ akcja? czy tylko instynkt?

Na prawo Las eukaliptusowy, wprowadzany często przez człowieka na obszarach malarycznych, dla ich osuszenia.

Do ciekawych przypadków, które nasuwają pytanie: czy można mówić o inteligencji u roślin, należy zjawisko współżycia południowo-amerykańskiego drzewa Cecropii z mrówkami. W wydrążonych konarach i gałęziach tego drzewa znajdują mrówki doskonałe mieszkanie; wzamian mrówki chronią drzewo przed jakiemikolwiek innemi owadami. Drzewo nietylko daje mrówkom schronienie, ale także dostarcza i pożywienia. U nasady bowiem ogonków liściowych znajdują się małe, białawe, jajowatego kształtu ciałka, które mrówki bardzo chętnie zjadają. Wytwarzają się one stale w znacznej obfitości. Dla samego drzewa jako takiego nie odgrywają żadnej roli. Jakież zatem znaczenie mogą mieć te „zabiegi“ drzewa o żywność dla mrówek? Odpowiedź jest jasna. Jak długo roślina dostarcza mrówkom pożywienia, tak długo zamieszkują drzewo i bronią je przed niebezpieczeństwem zniszczenia przez inne owady, zwłaszcza mrówki, żywiące się liśćmi drzew.

Podobne stosunki zachodzą pomiędzy mrówkami a pasożytniczą malajską rośliną Myrmecodia. We wnętrzu jej olbrzymich bulw mrówki znajdują bezpieczne schronienie; roślina zaś dzięki licznym korytarzom, drążonym przez mrówki, korzysta z doskonałej wentylacji.

Gdyby człowiek zachował się podobnie jak owe drzewa, stwarzając dla siebie jak najlepsze warunki bytowania, nikt nie wątpiłby, że działał z rozwagą i zrozumieniem. Czyż powiemy to samo o roślinach?

Obserwując różne przejawy życia roślin i zastanawiając się nad ich przebiegiem, oraz znaczeniem dla samej rośliny, nie możemy pozostać bez podziwu dla „pomysłowości“ czy też „inteligencji“ roślin, wyrażającej się w ich doskonałem przystosowaniu do warunków otoczenia.

Dr Z. M.



W podziemiach Alkazaru

ANNA DUDEVANT ✦ NOWELA ✦ ILUSTR. A. ŻMUDA

— Nie chcę być jednym z wielu, piękna pani — rzekł z uśmiechem Sefi ben Taher, wyswobadzając się z objęć młodej kobiety, która tuliła się do niego namiętnie. I ujmując ją za ręce, dodał z odcieniem szyderstwa:

— Jesteś najcudniejszą z mieszkanek Tolaitoli *) i sława twych wdzięków dorównywa sławie ojca twego, potężnego Amru, wielkorządcy miasta z łaski najmiłościwiej nam panującego Kalifa Alhakema, który oby żył wiecznie! Jesteś chlubą rodzica, przedmiotem pożądania niejednego dostojnika, perłą, której blask olśnił nawet przyszłego naszego władcę, rycerskiego Abderramana, ulubieńca wszystkich dziewic. Wszak zjeżdża do nas w ciągu kilku dni najbliższych, wiodąc na wschód pięć tysięcy wojska, a wszystkim wiadomo, że nęci go nie tyle powodzenie zbrojnej wyprawy, ile twoje pieszczoty i pocałunki. Zaczekaj na kochanka, którym nie możesz się bawić i który nie będzie dla ciebie, tak jak ja, kaprysem.

Drgnęła, jakby ukłuta żądłem skorpiona, a białe jej ramiona, przeświecające przez delikatną gazę rękawów, stuliły się pod wpływem obelgi dumnego Maura i zadrżały konwulsyjnie. Nikt jeszcze nie ośmielił się wzgardzić miłością płomiennookiej Zineldy i nikt nie dał do zrozumienia, że nie chce być zabawką tej pięknej, ale rozpustnej kobiety, która w swem krótkiem, ale pełnem wrażeń życiu miała już więcej wielbicieli, niżby naliczył śmiertelnych wrogów ojciec jej krwiożerczy Amru ben Jussuf, wali z Toledo. Obelga była tem przykrzejsza, że padła z ust człowieka, który już oddawna zwrócił na siebie jej uwagę i dla którego żywiła może coś więcej, niż przelotną sympatję.

Sefi spoglądał z ironicznym uśmiechem na dotkniętą do żywego kobietę, której niezakryte przez zasłonę lica powlekła śmiertelna bladość. Śnieżyste jej piersi, falujące pod gorsetem, naszytym perłami i przystrojony w diamentowe zapinki, podnosiły się i opadały szybko, jakby nie mogła zaczerpnąć powietrza. Dusiła się z wściekłości, wiedziała jednak, że gniew jej na nic się nie przyda. Sefi, członek potężnego rodu Kassarów, nie lękał się nikogo, nawet w przedsionkach Alkazaru, gdyż stała za nim cała ludność Toledo i zbrojne zastępy szlachty, która w ostatnich kilkunastu latach tak wielką odgrywała rolę w czasie walk o posiadanie miasta. Zresztą, Zenilda była zaskoczona zachowaniem się młodzieńca. Spodziewała się przecież, że wdzięki jej przemówią do wyobraźni rycerza, że namiętność pozbawi go zdolności rozumowania i że schadzka, na którą zwabiła podstępem dumnego Kassara do pałacu wielkorządcy, zakończy się namiętną sceną miłosną. Obelga Sefiego, była dla niej prawdziwą niespodzianką i zrazu nie znalazła na nią odpowiedzi. Dopiero po chwili, kiedy miejsce zdziwienia zajął w jej sercu wściekły gniew, zdobyła się na słowa, będące wyrzutem, groźbą i ostrzeżeniem zarazem.

— Nie chcesz być moją zabawką, cnotliwy małżonku Zobeidy? — zawołała, drżąc na całem ciele. — Widocznie pieszczoty tej nadzwyczajnej kobiety każą ci gardzić innemi! Wiedz jednak, że zapłacisz mi drogo za dzisiejsze upokorzenie i że przyjdzie dzień, kiedy będziesz igraszką w mem ręku!

Sefi spojrzał z pogardą w błyszczące oczy niewiasty, które wyrażały śmiertelną nienawiść i uśmiechnął się znowu.

— Za życia mego nigdy! — rzekł dobitnie. Żaden z Kassarów nie starał się o względy... zalotnicy. I wyszedł z komnaty z dumnie podniesioną głową. Zenilda opadła na sofę, dławiąc się z wściekłości i ukryła twarz w poduszkach. Zemsta! Oh! Jakże pożądaną byłaby jej zemsta w tej chwili! Zemsta straszliwa, o której mówiłyby całe pokolenia!

Oblicze kobiety zmieniło się teraz w groźną maskę, w której rysach zastygło nagłe postanowienie. Sefi musi umrzeć! Musi umrzeć u jej stóp, błagając o przebaczenie!

W ciągu tych długich godzin, które upłynęły od odejścia młodego mężczyzny, przez głowę jej przebiegło tysiąc myśli. Snuła rozmaite plany, ale żaden z nich nie wróżył powodzenia. Wszelki gwałt groził smutnemi następstwami. Załoga Kalifa była zbyt słabą, aby mogła sprostać w otwartym boju zastępom bitnej szlachty toledańskiej. Uwięzienie Sefiego, nawet najlepiej usprawiedliwione, mogłoby doprowadzić do nowych zamieszek i narazić wielkorządcę miasta na słuszny gniew jego mocodawcy. Alkahem miał już dosyć wojny domowej, która ubliżała jego powadze i narażała państwo na poważne wstrząsy. Nie, ta droga nie zawiedzie jej do celu! Zenilda wiedziała o tem dobrze. I płacząc z wściekłości, wzywając na pomoc czarne duchy zemsty, układała plan pewniejszy.

Los chciał, że w tym samym czasie ojciec Zenildy, okrutny i chytry Amru, ben Jussuf, naradzał się w swych komnatach z wysłannikami Kalifa nad sposobami ukrócenia samowoli Toledańczyków. Nienawidził on tego miasta całą duszą od chwili, kiedy butna szlachta miejscowa podniosła bunt przeciw jego synowi i wtrąciła go do więzienia, trzymając w ciemnicy przez długie miesiące. Znał on dobrze tych pysznych i dufnych w swą siłę wojowników, którym chodziło zawsze tylko o przywileje rodowe. Gardził nimi od chwili, kiedy za garść złota przynieśli mu głowę kadiego Obeydaha, broniącego murów Alkazaru przed jego wojskami. Ongiś, przed laty! Ale nie czuł się na siłach, aby wystąpić przeciw nim z całą energją. Nawet teraz, kiedy do miasta zbliżały się zastępcy Abderramana, syna jego pana i władcy!

Zmierzch zapadł. Zmęczeni drogą posłowie Kalifa udali się do przeznaczonych dla nich komnat. Stary Amru pozostał sam z swymi myślami. Targał siwą brodę, zaciskał zęby, a z piersi jego od czasu do czasu dobywało się westchnienie. Tak, był tylko wielkorządcą z imienia. Jeden nieostrożny krok, jeden czyn nierozważny, a może spotkać go los syna, ciemnica i niełaska Kalifa. Mieszkańcy Tolaitoli nie przebierali w środkach, jak i on nie przebierał. Nie było mowy o otwartej walce.

Rozległ się cichy, metaliczny brzęk złotych naramienników i na progu komnaty stanęła postać kobieca.

— To ja, ojcze... Zenilda. — Przypadła do rąk starca.

Pocałował ją w czoło i podniósł, zdziwiony, głowę klęczącej kobiety, którą oparła na jego kolanach.

— Płaczesz, dziecko? Któż cię skrzywdził? — zapytał. — Kto ośmielił się skrzywdzić moją Zenildę?

Łkała głośno, nie dając odpowiedzi. Amru zmarszczył brwi, a twarz jego pobladła.

— Mów! Co się stało? — rzekł tonem rozkazującym.

Spojrzała na starca, a wargi jej zadrżały.

— Zelżono mnie! — rzekła z wysiłkiem. — Zelżono, jak ostatnią dziewkę... mnie, córkę wielkiego Amru!

W oczach walego pojawiły się groźne błyski. Ręce jego zacisnęły się na głowicy szabli. Zapytał, siląc się na spokój:

— Kto cię obraził? Kto nazwał cię dziewką?

— Sefi ben Taher! — Przestała płakać, śledząc, jakie wrażenie wywołały na ojcu wypowiedziane słowa. — Oh! Musisz mnie pomścić! Musisz ukarać tego człowieka!

Starzec powstał, wzburzony. Członek rodu Kassarów, najpotężniejszego rodu w mieście! Zaiste, ten mógł urągać nawet córce wielkorządcy!

— Jak się to stało? Opowiedz! — rzekł po chwili.

— Nie żądaj tego ode mnie, ojcze! — szepnęła Zenilda, składając ręce prosząco. — Jestem kobietą. Wstyd nie pozwala mi mówić. Wtargnął podstępem do mej komnaty, żebrząc o miłość. A kiedy odtrąciłam go, obrzucił mnie obelgami. Oh! Pragnę zemsty! Tylko zemsty!

Amru rozłożył ręce.

— Zemsty! — rzekł. — I ja jej pragnę. Pragnę zemsty za krzywdę mego syna, za moje upokorzenie, za moją bezsilność. Sefi ben Taher! Oddałbym z rozkoszą życie za jego głowę... Ale cóż mogę? Skarga do Kalifa...

— Nie chcę się skarżyć nikomu! — przerwała dumnie Zenilda, a na twarz jej wystąpił rumieniec. — Córka wielkiego Amru nie zniży się do prośby. Mówisz, że chcesz się zemścić... że chciałeś zemścić się już dawno. Krzywda moja niech będzie ostatnią kroplą przepełniającą puhar!

Oczy jej zabłysły, a twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie. Powstała i przytuliła się do starca. Usiedli oboje.

— Posłuchaj mnie, ojcze — rzekła. — Jutro lub pojutrze przybywa Abderraman na czele wojska i zamieszka w Alkazarze. Trzeba wydać na jego cześć wielką ucztę...

Zaczęła szeptać coś do ucha starcowi, który słuchał z naprężoną uwagą. W pewnej chwili wzdrygnął się, jakby przerażony. Ale zapanował nad przelotną słabością i nachylając głowę, chłonął chciwie słowa córki, która zaczęła mówić coraz głośniej. Oczy jej błyszczały niezdrowem światłem, ale blask ich zdawał się dodawać otuchy wielkorządcy. Położył dłoń swoją na głowie Zenildy, przytakując jej uwagom.

— Masz słuszność ,córko — rzekł Amru,

*) Arabowie tak nazywali miasto Toledo.

kiedy skończyła. — Trzeba zaprosić na ucztę całą szlachtę, rozstawić straże... Jutro pomszczę ciebie i siebie!

— Jutro! — szepnęła Zenilda. — Jutro, Sefi ben Taher, zapłacisz mi za twą wzgardę! błagać będziesz nie o miłość, ale o litość moją!

— — — — — — — — — —

I przyszło jutro.

Wojska Abderramana przybyły wczesnym rankiem do Toledo i zajęły wyznaczone sobie kwatery. Ludność wylegla na plac Zocodover, aby przywitać dziedzica kalifatu, który z rozkazu ojca spieszył zaprowadzić ład we wschodnich prowincjach. Dzień był piękny, jak marzenie i uśmiechał się do młodego wojownika, który jechał zwolna w stronę Alkazaru. Z poza przejrzystej zasłony w jednem z okien pałacu spoglądała w dół piękna Zenilda, pomna łask przyszłego władcy państwa i ciekawa, czy bardzo zmienił się od czasu ostatniego ich spotkania. Najprzedniejsi obywatele miasta towarzyszyli panu aż do wrót zamkowych, a Amru zaprowadził go w orszaku dworzan do gościnnych komnat na górnem piętrze.

Dzień cały zeszedł na przyjęciach i posłuchaniach. Amru naradzał się z dowódcami straży pałacowej, wydawał półgłosem zlecenia, rozsyłał gońców na miasto. W kuchniach Alkazaru czyniono gorączkowe przygotowania do uczty na cześć Abderramana, która rozpocząć się miała o zmierzchu w południowem skrzydle wielkiego gmachu. Zanosiło się na wielką uroczystość z udziałem, jak mówiono, całej szlachty toledańskiej.

Zenilda liczyła z niecierpliwością godziny. Dwóch zaufanych rzezańców czekało na jej rozkazy. Amru opracował plan w wszystkich szczegółach i mógł zasiąść do uczty wraz z swoim panem pewny, że zlecenia jego będą spełnione.

Zapadł zmierzch. Na zamek zaczęli spieszyć goście. Członkowie najprzedniejszych rodów, bez broni, w bogatych, przystrojonych klejnotami szatach, wchodzili grupami na wzgórze Alkazaru i znikali w przedsionkach pałacu. Szli roześmiani, pełni radości życia, bez troski, bez złych przeczuć... jak na ucztę przystało. Jeden za drugim, w ciągu trzech godzin wstępowali w mroczne krużganki zamkowe. A na górze rycerze i dwór Abderramana sławili gościnność wielkorządcy Amru przy suto zastawionych stołach.

W komnacie Zenildy panowała cisza. Córka walego Amru ben Jussufa czekała na wieści... z podziemi.

Była już późna noc, kiedy na drodze, wiodącej do zamku, ukazały się dwie postacie. To Sefi ben Taher spieszył na uroczystość w towarzystwie kuzyna swej żony Massuda, przybyłego właśnie z Grenady..

— Jesteśmy chyba ostatnimi gośćmi — odezwał się Massud w chwili, kiedy stanęli przed bramą pałacu. — Zobeida odradzała nam tę wizytę. Mówiła, że ma jakieś złe przeczucia...

Sefi wzruszył ramionami. — Przeczucia kobiece! — rzekł tonem lekceważącym. — Żona moja ma zawsze złe przeczucia...

Weszli do sieni ,w której stało kilku zbrojnych i dwóch pachołków, trzymających pochodnie. Przybrany w błękitną tunikę, rzezaniec skłonił się nisko, dając znak gościom, aby szli za nim. Ruszyli w jego ślady bez wahania. Nagle, za zakrętem korytarza, oświetlonego również pochodniami, rzuciło się na nich z nienacka kilku ludzi. W mgnieniu oka obaj niespodziewający się napadu mężczyźni zostali ubezwładnieni i skrępowani. Nie mieli czasu krzyknąć, gdyż w jednej chwili wprawni siepacze zakneblowali im usta.

— Naprzód! — dał rozkaz dowódca zbrojnych i obu jeńców zawleczono do podziemi. Walczącemu uparcie Sefimu udało się odwrócić głowę. I wtedy ujrzał, jak drzwi, prowadzące do jednego z lochów, otworzyły się i ukazał się w nich dziwny orszak. Dwóch pachołków dźwigało za ręce i nogi ciało człowieka, którego suknie były obficie zbroczone krwią. Jeden rzut oka na bladą twarz zabitego pouczył Sefiego, że widzi przed sobą zwłoki Sadi Hatema, z słynnego rodu Gomlezów, swego przyjaciela i krewnego. Zadrżał ze wstrętu i grozy, zrozumiał bowiem, że wpadł w zasadzkę.

— Nie oglądaj się! — krzyknął jeden z siepaczy. — Przyjdzie kolej i na ciebie!

Obu jeńców wniesiono do wielkiego, pozbawionego okien lochu i rzucono na ziemię. Do leżącego bez ruchu Massuda zbliżył się jeden z rzezańców.

— Podnieście wgórę pochodnię! — wydał rozkaz siepaczom. — To nie ten! — dodał po chwili, dając znak stojącemu opodal mężczyźnie, który podszedł do swej ofiary z jataganem w ręku.

Zdjęty grozą Sefi oparł się z wysiłkiem na łokciu i podniósł głowę. W krwawem świetle pochodni ujrzał teraz, że w głębi lochu leżą dwa trupy w kałuży krwi. I ujrzał, że człowiek z jataganem w ręku nachylił się nad Massudem.



...w drzwiach lochu stanęła kobieta.

— Kończyć! — odezwał się szorstki głos.

Sefi zamknął oczy, a kiedy je znowu otworzył, ciało Massuda leżało już martwe, bezwładne, ociekające krwią, w kącie podziemia. Umarł bez jęku, przebity jataganem kata.

— Oto Sefi ben Taher! — przemówił nagle rzezaniec i podniósł rękę. — Zaczekajcie! Rozwiązać więźnia!

Zbrojni spełnili rozkaz bez wahania. Zdjęli pęta z rąk jeńca, wyjęli z ust jego knebel, podnieśli go z ziemi i postawili na nogach. Rzezaniec wyszedł z ciemnicy.

W ciągu tych kilkunastu minut, jakie upłynęły od jego odejścia, Sefi starał się zebrać myśli. Nie ulegało wątpliwości, że w podziemiach Alkazaru rozgrywa się straszliwa tragedja. Okrutny Amru skorzystał ze sposobności i wydał na śmierć siepaczom całą szlachtę miejscową, zwabioną na zamek pod pozorem uroczystości na cześć Abderramana. Ginęli członkowie rodu Abenceragów, Gomelezów i Kassarów, ginęli młodzi i starzy, zahartowani w boju wojonicy i zniewieściali dziedzice wielkich bogactw, dawni wrogowie wielkorządcy i ludzie zupełnie mu nieznani... Zawleczeni do lochów zamkowych, ginęli nędznie, nie mogąc się bronić, a nikt w mieście nie domyślał się, że krew najlepszych obywateli starej Tolaitoli spływa na głazy podziemia, bryzga na jego ściany, plami odświętne suknie mordowanych. Sefi nie łudził się, że i jego trupa uniosą w dal wartkie wody Tagu. Dziwił się tylko nagłej zwłoce? Co mogło być powodm ociągania się jego katów? Co miały oznaczać słowa rzezańca?

Niedługo trwało czekanie. Do uszu jego doleciał odgłos szybkich kroków na korytarzu i w drzwiach lochu stanęła kobieta. Miała na sobie ciemny płaszcz, a twarz jej kryła zasłona. Jedno spojrzenie pouczyło jednak Sefiego, że ma przed sobą Zineldę, córkę okrutnego wielkorządcy Toleda.

— Zostawcie mnie z więźniem... samą — rzekła, a głos jej drżał lekko, kiedy wydawała to zlecenie. — Zatrzymaj się przy drzwiach, Ali! — dodała, zwracając się do rzeżańca. — Będę cię potrzebowała.

Spełnili rozkaz, wychodząc pospiesznie z podziemia. W zbroczonym krwią lochu zapadło głuche milczenie. Zenilda spojrzała w kąt, gdzie widniały zwłoki pomordowanych mężczyzn i wzdrygnęła się mimowoli.

— Wiele krwi musieliśmy przelać, zanim raczyłeś zjawić się na zamku — rzekła cicho. — Niechaj krew ta spadnie na twoją głowę! Czekałam jednak tylko na ciebie. Jeszcze wczoraj wzgardziłeś moją miłością, a dziś życie twoje zależy od jednego mego skinienia. Cóż mi powiesz teraz, Sefi ben Taher?

Trwał w milczeniu, spoglądając na nią tępym wzrokim. Zapalała się coraz bardziej, ale ani słowa, tchnące śmiertelną nienawiścią, ani obietnice wypuszczenia więźnia na wolność, ani nawet zaklęcia miłosne, które wypowiadała, jakby współprzytomna, pijana krwią pomordowanych ofiar, nie zdołały wyprowadzić Sefiego z odrętwienia. Czego chciała od niego ta straszna kobieta? Czy to możliwe, aby zemsta popchnęła ją do takiego przestępstwa?

Słuchał jej słów, nie dając znaku życia, ale kiedy skończyła i podeszła bliżej, cofnął się ze wstrętem.

— Gardzę tobą, potworze! — zawołał. — Pozwól mi umrzeć w spokoju!

— Oczy jej zabłysły. Skuliła się, jak dziki zwierz, gotujący się do skoku.

— Gardzisz mną?! — zawołała ochrypłym głosem i podniosła ręce w górę. — Gardzisz nawt w tej chwili, kiedy jedno słowo mogło usposobić mnie życzliwiej? Umieraj więc, jak twoi krewni i towarzysze! Ali! Ali! Pięść rzezańca pchnęła drzwi lochu, otwierając je na oścież.

— Niech umiera! — powtórzyła Zenilda i słaniając się, wybiegła na korytarz.

Siepacze rzucili się na Sefi ben Tahera z obnażonymi szablami w ręku.

— — — — — — — — — —

Tak wyginęła szlachta toledańska, w głuchych podziemiach Alkazaru, w pogodną, jasną noc kwietniową, roku Pańskiego 805. I tak zginął jeden z ostatnich Kassarów, mimowolny sprawca tej straszliwj tragedji.

Trudno powiedzieć, czy Kalif Alhakem wiedział o zamierzonej rzezi. Nagły wyjazd syna jego Abderramana, który nazajutrz opuścił miasto, zdaje się przemawiać przeciw temu przypuszczeniu. Zapewne była ona przejawem zemasty okrutnego wielkorządcy Toleda, którego dalsze dzieje pokrywa mgła tajemnicy. O losach Zenildy wiemy również bardzo mało. Krwawa noc, która pozbawiła ją przedmiotu miłości, pozbawiła ją także zmysłów. Zmarła w kilka miesięcy później, w gorączce, której przyczyna pozostała dla wszystkich nieznana. To pewne, że szczęścia już nie zaznała.

Bowiem słusznie mówi poeta: *„Owoce, które zemsta rodzi, gorzkie są, jako cynamon, a drzewo, które je nosi, nie zapuszcza głęboko korzeni i nie użycza cienia wielu pokoleniom".*

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Tak długo oczekiwane znaczki angielskie z portretem króla Edwarda VIII wreszcie się ukazały i... zadziwiły wszystkich swoim wyglądem. Odbiega on bowiem niezmiernie od tego wszystkiego co dotąd wyszło z pod prasy drukarń londyńskich, a w każdym razie prostota obrazu jest zdumiewająca. Jest to bezwzględnie wynik nowej techniki druku, a mianowicie heliograwury oddającej z łatwością całą skalę tonów... wprawdzie ręka artysty potrafi wydobyć więcej ze sztychu, ale tutaj mamy do czynienia z najwierniejszą reprodukcją rzeczywistości przy pomocy fotografji.

Chwilowo nieznane są nam barwy poszczególnych wartości i wielkość serji, a niewątpliwie znaczki o cenie nominalnej wyższej od szylinga będą zgodnie z tradycją większego formatu.

Anglicy nie uważali nawet za stosowne umieście napisu oznaczającego kraj. Może mają rację sądząc, że każde dziecko na pierwszy rzut oka rozpozna, skąd pochodzi ta marka, przedstawiająca młodego króla. Ciekawe czy wszystkie kolonje pójdą za przykładem metropolji i wydadzą podobnie purytańskie znaczki. Nie przypuszczam, aby się tak miało stać, bo ostatnio zarzucono jednolity typ i każda kolonja wydała znaczki obrazkowe. Zobaczymy jednak niewątpliwie nowe i spewnością bardzo ładne serje, a ciekawić będzie zbieraczy „Europy" specjalnie Malta i Gibraltar.

We Francji normalna serja idzie prawie w zapomnienie, bo co chwila ukazują się wartości rozmaite z powodu jubileuszów i ciekawych wydarzeń. I tym razem reprodukujemy znaczek przedstawiający autora Marsyljanki zmarłego 100 lat temu. Po stylu można odrazu rozpoznać, że to znaczek francuski, ale nie jest on tak ładny, jak zamieszczona przez nas niedawno druga wartość. Kolor szmaragdowy (ze zbioru p. Janiny Seegin). „Normandję" wydano w zmienionym jasno niebieskim kolorze, ale teraz właściwie w Anglji byłby powód do uczczenia we filatelistyce zdobycia „błękitnej wstęgi".

Zamieszczamy również omówiony niedawno znaczek Gdańska na jubileusz kąpieliska w Brösen, choć w rzeczywistości wcale nam nie przypada do gustu i tylko dlatego przedstawiamy go Czytelnikom, bo Gdańsk jest u nas niezmiernie popularnym filatelistycznie krajem. Zaznaczamy również, że ceny znaczków gdańskich w ostatnim katalogu poszły niesłychanie w górę. Cena serji z przedrukiem „November" wynosi 100 marek(!!), a trzech pierwszych znaczków z przedrukiem „W. H. W.", które przy okienku kosztowały 45 fenigów, nie można obecnie dostać za stokrotną cenę. Naturalnie, że już tu i owdzie pojawiły się falsyfikaty.

W. H.

ADRESY ZBIERACZY: Jerzy Skwirzyński, Kraków, Wielopole 13 m. 6.



Znaczek z przedrukiem i oryginalne pieczątki na liście balonowym, wysłanym podczas ostatnich zawodów o puchar Gordon-Bennetta. — Ze zbiorów p. Skwirzyńskiego



Na lewo: Najnowszy znaczek W. Brytanji z podobizną Edwarda VIII.

Poniżej: Znaczek francuski wydany ku czci Rouget de Lisle (na lewo) i Gdański wypuszczony z okazji 125-lecia kąpieliska Brösen.



Panie, o których mówi stolica

Janina Kuźmińska



J. Kuźmińska na tarasie oficerskiego Yacht-klubu w Warszawie. Fot. „AS"

W okresie letnim i jesiennym Warszawa żyje pod znakiem Wisły. Wszelkie regaty, czy zawody pływackie stanowią dla miłośników sportu wodnego wydarzenie dnia. Pełno też było gości w wytwornym Oficerskim Yacht Klubie R. P. na uroczystości wręczania nagród zwycięzcom na regatach, które się odbyły w ostatnich dniach czerwca. W sali balowej, za długim stołem, na którym ustawiono cenne nagrody, zasiadła komisja i zarząd klubu z komandorem pułk. Spałkiem. Jak wojskowa komenda padają nazwiska nagrodzonych, brawa, oklaski, orkiestra wygrywa triumfalne tusze.

Pośród długiej listy zwycięzców znalazły się jedynie dwie kobiety. Jedna z nich, to kapitanowa Janina Kuźmińska, uznawana za najlepszą żeglarkę stolicy. Do licznych dotychczas zdobytych nagród przybyła tym razem znakomitej żeglarce jeszcze jedna, tem zaszczytniejsza, że p. Kuźmińska, jako jedyna kobieta, zajęła czwarte miejsce na osiemnaście łodzi w biegu długodystansowym Warszawa—Modlin 40 klm W ubiegłym roku na regatach w Augustowie zajęła p. Kuźmińska drugie miejsce.

Również i zewnętrznemi warunkami odpowiada pani Janina w zupełności dzisiejszemu ideałowi kobiety sportu. Drobna, smukła, cudownie opalona, giętka i żywa w ruchach, o jasnych i wesołych oczach, a przytem miła i towarzyska i oddana całą duszą sprawom kultury fizycznej.

— Czy pani uprawia tylko żeglarstwo? — pytam naszej znakomitej regacistki.

— O bynajmniej, odpowiada pani Janina. — Równie namiętnie pływam, jeżdżę konno, gram w tenisa, w zimie nartuję. Przed kilku laty miałam nawet doskonałe wyniki w lekkoatletyce, którą jednakże trochę na korzyść sportu wodnego zaniedbałam. Chcąc bowiem stawać do zawodów, trzeba dużo trenować. To też, gdy pogoda dopisuje, cały dzień siedzę w klubie, a właściwie, na obecnie przydzielonym mi przez klub „Gzie". Tak się nazywa moja żaglówka.

— Słyszałam, że pani posiada tytuł „sternika morskiego". Jak się zdobywa taką poważną godność? — pytam w dalszym ciągu.

— Przechodziłam specjalny kurs w Gdyni i zdawałam egzamin przed komisją marynarki wojennej.

— Strasznie to groźnie brzmi: „Sternik morski", marynarka wojenna... Jeden krok do.., „wilka morskiego"!

— Potrosze to nim jestem — odpowiada pani Janina z uśmiechem. Podczas kursów w Gdyni, a następnie jako wykwalifikowany sternik morski, nieraz znalazłam się w ciężkich opałach podczas burzy, która na naszej Zatoce Gdyńskiej nie ustępuje w zupełności burzy na pełnem morzu. Ale kocham wodę nadewszystko, a żeglarstwo uważam za najpiękniejszy i najszlachetniejszy sport wodny! Gdy rozwinę białe skrzydła mojego ptaka, mam wrażenie, jakby mnie samej wyrosły skrzydła u ramion. Na brzegu zostawia się wszystko co złe, smutne i brudne. Ze mną jest woda, błękit nieba, słońce i nieskończona dal, ku której płynie się lekko i cicho jak we śnie...

Zofja Ordyńska.



Za chwilę żaglówka wyruszy na wycieczkę wiślanym szlakiem... Fot. „AS"



Na prawo; J. Kuźmińska w czasie regat na jeziorze Augustowskiem.

PAŃSTWO POZWOLĄ: JESTEM PELIKAN BABA!

Zdjęcie „Wide World" z londyńskiego Zoo.





Ewangelia morza

ZDZISŁAW BUKOWSKI

W „Musée du Luxembourg“ jest obraz zatytułowany „Alain Gerbault“. Płótno niedużych rozmiarów. Treść: na tle olbrzymich fal morskich i części pokładu wraz z burtą klęczy postać największego żeglarza świata, wielkiego romantyka mórz — Alaina Gerbaulta.

I.

Pośród ciszy letnich wieczorów, kiedy księżyc szeroko rozlewał bladą poświatę, lubiłem włóczyć się po bulwarach położonych nad lewym brzegiem srebrnej wstęgi Wisły, pełnych dziwnych zakamarków, nawskróś przegniłych starych bud, które za lada kopnięciem w drzazgi się rozlecą. Stały tam sczerniałe łodzie rybackie, wywrócone do góry dnem, które w świetle księżyca wyglądały jak martwe grzbiety rekinów. Bah! Nawet można było tam zobaczyć zardzewiałe części statku rzecznego, które wysłużywszy się w swej znojnej pracy, odpoczywały na brzegu nie mogąc się rozstać z widokiem swego żywiołu. Przechadzałem się w tym dziwnym świecie. Zdawało się, że patrząc na podziurawione łodzie, widzę je, kiedy jeszcze były całe, pełne sił, kiedy dziobem swym pruły ciemne odmęty rzeki. To znowu tuż za żelazną kratownicą mostu stały małe, drewniane galary, pełne czarnych mas węgla. Czasami czerwony żar ogniska rozpalonego na przodzie galaru oświetlał snujące się ciemne sylwetki zgarbionych flisaków.

II.

I wreszcie nadszedł dzień „Wielkiej Przygody“.

Skradając się wąskiemi, zaspanemi uliczkami Krakowa — bez wiedzy rodziców — z plecakiem na ramionach, dobiegłem do brzegu Wisły. Już niedaleko, byle jak najszybciej pod most, a tam tylko jeden krok, i już byłem na galarze...

„Leżę na wznak z oczami utkwionemi w szafirze nieba. Ogarnia mnie błogi spokój. Czasem nerwowy plusk fal pod galarem lub zbłąkana ważka przerywa ciszę — zabrzęczy tuż nad uchem. Białe, skłębione chmurki jak widma przepadają na niebie. Błądzę myślą wśród tych nieskalanych łopuchów, odprowadzam je wzrokiem, a kiedy stopią się z szafirem nieba, myśl moja biegnie jeszcze wyżej hen... w nieskończoność. Odwracam głowę. Na zielonem podszyciu nadbrzeżnych wierzb, białe słupy kilometrowe leniwe przesuwają się, jak ziarnka różańca w palcach zgrzybiałej babki“.

„Nie chciał wierzyć, że nie umiem pływać. Krew mi zmroziło w żyłach, kiedym stał na tylnej krawędzi galaru — zbliżał się do mnie z rozłożonemi żylastemi rękami. Złapał mnie z rozmachem swych potwornie grubych ramion wyrzucił jak szczeniaka, szerokim łukiem poza galar.

Dzięki ci galarniku, nauczyłeś mnie pływać...

„Dziś po raz pierwszy pozwolił mi sterować galarem. Stoję na wąskiej desce pośród niskich zwałów brył węgla. Wpatrzony w srebrzystą toń Wisły zdaje mi się, że nie galar, a brzeg płynie. Zasłuchany w szept nadbrzeżnych wierzb, zdawało mi się, że jestem chłopcem okrętowym. Tak! Byłem chłopcem okrętowym, który w milczeniu spełnia swą żmudną pracę.

Widziałem siebie znowu w piekielnym ryku stalowych maszyn okrętowych, to znowu przed czerwoną czeluścią paleniska, zionącego gryzącą do kości spiekotą. Szeroką łopatą zgarniałem czarny węgiel, a po mych nagich piersiach spływały czarne krople potu. Dosyć! — zawyłem. Słońca, powietrza mi trzeba. Znalazłem się na pokładzie, jeszcze wyżej, na obnażonych rejach. Pełną piersią zaczerpnąłem powietrza. Wy, mieszkańcy miast, zabagnionych tuneli ulic, słuchajcie... Słuchajcie... Czy wiecie, co to czar wiecznie zmiennego żywiołu? Czy wiecie, co o poezji morza? Czyście je czuli? Czyście ją znaleźli w swoich spalonych sercach? Za późno już było. Widziałem, jak brzeg rośnie w oczach, wpadłem z galarem w zdradziecki „przeciąg“ i tupnąwszy o brzeg, aż stary galar zastękał, wyciągnąłem swoje nogi z pod zasypanego węgla.

III.

Aż przyszła „Wielka Noc“. Późną jesienią dotarłem do Gdyni. Była burzliwa noc. Jakiś przygodnie spotkany rybak zaprowadził mnie do marynarskiej spelunki „Pod Dębem“. Kiedym chciał odsłonić okno, aby spojrzeć na morze, zobaczyłem na szybie tylko odbicie własnej twarzy. Wyszedłem. Wśród wielkich ciemności potknąłem się i upadłem. Krzyk mój utonął w piekielnym ryku. Wicher rozszalał się w całej pełni, wył i gwizdał, to znowu ustawał, aby za chwilę zerwać się ze zdwojoną zaciętością. Robiło to na mnie wrażenie, że te wycia i ryki, to głosy zmarłych rybaków, których duchy wędrują po skłębionych chmurach. Dopiero teraz z wyciem wichru posłyszałeme syk fal, rozlewających się na wybrzeżu i szum gwałtownego deszczu. Posłyszałem cię po raz pierwszy ukochane morze... posłyszałem... A w chwilę potem wśród krwawego blasku błyskawicy dostrzegłem moją tęsknicę — moje największe pragnienie.

Zabrałeś moją duszę ty szeroki bezkresie. Kusiłeś i przyzywałeś ku rozwartej zielonej przestrzeni. Ukochałem cię po raz drugi, moje ty wyśnione, bezlitosne, wiecznie zmienne w swej tajemnicy odwiecznego ruchu — morze“.

IV.

Któregoś słonecznego poranku doszła krótka dziennikarska notatka: „25 kwietnia 1923 r. Alain Gerbault, francuski sportowiec odpłynął z Cannes, przepłynął Atlantyk, nie zatrzymując się, od Gibraltaru do Nowego Jorku“. Zaciekawienie pod znakiem zapytania. Kto to? Kto jest tym dziwakiem, który sam jeden w wątłej żaglówce przemierzył burzliwy Alantyk?

— — — — — — — — —

I stało się, że w szarych smutnych czasach, czasach ogólnego zakłamania rozświeciłeś jak nowe słońce, rozsiawając promienie kaskadą barw tęczy w sercach młodzieży całego świata. Ty — pustelniku mórz, zawieszony między niebem a wodą, uciekłeś w dal, poprzez niezmierzone zagony mórz, orząc kilem olbrzymie zwały wód. Uciekłeś w świat przed światem, nie mogąc ugasić głodu szlachetnej Przygody. Poznałeś wielką prawdę — wartość życia — wartość, którą, aby ocenić, trzeba tak jak Ty płynąć, tak przeciwstawiać się rozwścieczonym bezmiarom wód. Morze dało Ci pełnię życia, czar wspaniałych przemian. Na morzu poznałeś jego wartość za jego źródło nieustannego podsycania w Tobie wartości siły. W czasie burzy wdrapujesz się na maszt i śpiewasz pieśń zwycięstwa. Upajasz się przewspaniałym narkotykiem wolnej, bezpańskiej przestrzeni.

Ty, dla którego miarą cywilizacji jest odległość rufy po koniec bukszprytu, poznałeś cały kłam miejskich dni, bezduszność potwornych, przeżartych brudem blokami ulic. Alanie Gerbault! Jesteś szczęśliwy. Odwróciłeś smutną kartę swego życia. Zagłębiłeś się w drugiej stronicy, której na imię „Ewangelja morza“. Jesteś sam; Bóg, który jest ponad Tobą i przemawia każdą sekundą pokładowego sekstansu. A w Tobie jest Twoja Ewangelja morza.

Alanie Gerbault! W swoich pragnieniach mocnego, nieodpartego wysiłku do krańcowych wysiłków, nie jesteś sam. Jeszcze w naszych niespalonych sercach, nieprzeżartych duszach kłamstwem są dążenia do czynów nieprzeciętnych, że pragniemy tak jak Ty stać się włóczęgami szerokich gościńców świata, że chcemy płynąć jak pielgrzymi po świetlanej wstędze Wisły, która wyprowadzi nas od Karpat po wrota naszego ukochanego Bałtyku.

Alanie Gerbault! Zapewniamy Cię, że już dziś masz wyznawców Twojej Ewangelji, że nieustraszeni ciosami grzywiastych fal płyną „Dalą“ w nieznane dale, na skrzydłach nieskalanej bieli żagli... Płyną porwani widmami niewyśnionych złud, koralowych raf, czarownych brzegów atoli... Płyną fordewindem poprzez zasieki śmiertelnych szkwałów, jak ich ojcowie okuci w żelazo mknęli nawą z szumem husarskich skrzydeł u ramion... Płyną „Zjawą“ porwani krzykiem pragnień i niewyzwolonych tęsknot po zjawy grozy i piękna.

W „Musée du Luxembourg“ jest obraz zatytułowany „Alain Gerbault“. Płótno niedużych rozmiarów...

A morze śpiewa swą odwieczną pieśń.........

MIASTECZKA POLESKIE



Oryginalna kapliczka na cmentarzu prawosławnym w Dąbrowicy.

W miejscu, gdzie Wołyń z Polesiem walczy o charakter krajobrazu, formując piaszczyste wydmy i wzgórza, rozłożyło się prastare miasteczko Dąbrowica. Obok przepływa Horyń, ta sama rzeka, która w górnym swym biegu ciągle ogląda miejsce ponurej tragedji — Sławutę. Niemniej smutnemi są niedawne dzieje Dąbrowicy.

Zaczynają się one jeszcze w czasach, w których całe Polesie było krajem niejako w sobie zamkniętym, historyków nieinteresującym. Działy się tam w dorzeczach Piny, Styru, Stochodu i Horynia różne rzeczy, ale ktoby je tam zapisywał! Dlatego też o założeniu miasteczka skąpe mamy wiadomości. W każdym razie pewnem jest, iż jedni z pierwszych władali Dąbrowicą książęta Holszańscy. Z tych to zapewne czasów pochodzą ślady zamku, który stał na miejscu obecnego zarządu dóbr Witolda hr. Broel-Platera. Widzi się je wówczas, gdy z wiosną woda podmywa urwisty brzeg rzeki, ukazując szczątki obwarowań.

Obok tego miejsca znajduje się kościół liczący około trzy wieki istnienia. Pewnej daty jego wzniesienia nikt nie zna. Wewnątrz wiszą portrety fundatorów, to jest księcia Dolskiego i księżniczki Wiśniowieckiej. Tyle nie uległo rusyfikacji. Obok bowiem, do czasów zaboru, a nawet znacznie po zaborach jeszcze wznosił się przy kościele klasztor, po którym obecnie śladu niema. Moskale, zacierając wszelkie ślady polskości na Kresach, pod naporem bagnetów zmusili zakonników do ustąpienia z zajmowanej placówki. Stuletni ludzie pamiętają rozbiórkę murów, ale dokładnie niczego nie umieją powiedzieć. Wówczas przepadły wszelkie akty i dokumenty, które dla nauki miałyby obecnie nieocenione znaczenie. Kościół oszczędzono, mając zamiar zamienić go — wzorem tylu innych — na cerkiew. Jednakże trzej magnaci, a byli to Radziwiłł, Sanguszko i Plater udali się na carski dwór i wyjednali przyrzeczenie, iż kościół zostanie oddany katolikom, jeśli na jego miejsce polscy panowie wybudują nową cerkiew. Tak też się dzięki nim stało i — cerkiew przez nich murowana do dziś dnia istnieje i świadczy o aktywności kresowych wielmożów. Należy jeszcze zaznaczyć, że budowa świątyni była celowo tak przeprowadzona, aby każdej chwili mogła ona być zmienioną na kościół. Jednakże tolerancja religijna polska nie poszła po tej linji.

Dąbrowickie dobra, przechodząc z rąk do rąk udzielnych książąt, dostały się wreszcie w posiadanie hr. Broel-Platerów. Ci także zasłużyli się wokół rozwoju ziemi i jej utrzymania. Trwali na niej długo i przetrwali najgorsze czasy.

Podczas wielkiej wojny — mniej więcej w czasie zamordowania ks. Sanguszki w Sławucie, podobny fakt miał miejsce także i w Dąbrowicy, a raczej o dwa kilometry od miasta odległej rezydencji właścicieli — Worobinie. Dwóch młodych braci Platerów postanowiło nie dać się ponieść ogólnej panice i nie opuszczać dziedzictwa w doli i niedoli, obecnością swą chcąc ratować majątek od całkowitej zagłady. Uważali się bezpiecznymi na ziemi swych dziadów.

Lecz tłumy z Dąbrowicy i okolicznych wsi, zdemoralizowane brakiem władzy i długą wojną, założyły „dąbrowicką republikę" i wydały manifest, mocą którego należało palić, mordować i rabować. Ludność miała broni pięć razy tyle, ile trzeba było na uzbrojenie normalnego człowieka. Miała zrabowane na dworcu karabiny niemieckie, miała jeszcze rosyjskie i innego pochodzenia. Miała nawet armaty. Wobec tego — tłumnie w liczbie kilku tysięcy ruszyli pod białe mury starego i pięknego pałacu w Worobinie. Słysząc o tem młodzi Platerowie zamknęli się w piętrowym budynku wraz z całą administracją, w ogólnej liczbie 22 osób. Wówczas nastąpiło oblężenie. Gdy jednak obywatelom „republiki" znudziło się czekanie i wyzywanie przy akompaniamencie pukania z karabinów, podpalili oblane benzyną drzwi i wtargnęli do domu. Nikt z dzielnie broniących się ostatkiem sił nie wyszedł z życiem z rąk rozbestwionej tłuszczy. Zginęli bohaterscy młodzieńcy, zginęła tak samo wierna im służba, postawiona na straży kultury. Na szczęście został przy życiu trzeci brat, wówczas nieobecny, który objął tragiczne dziedzictwo, jakże okrutnie shańbione i zrujnowane.

Powoli stara się Witold hr. Broel-Plater zatrzeć ślady panowania smutnej pamięci „republiki dąbrowickiej", doprowadzając do możliwego stanu gospodarstwo. Pałac stoi jeszcze prawie w tym stanie, co po zniszczeniu. Zdołano jedynie nakryć dach ogołocony z blachy. Wewnątrz widać i teraz, jak z barbarzyńską rozkoszą zrywano świeczniki ze sufitów, rozbijano marmurowe kominki, wyrywano dla satysfakcji kafle z pieców i z furją ciskano niemi o ziemię. Wyłamano okna i drzwi, które zabite deskami czekają, czy nie zaświeci im nowa jutrzenka...

Niemniej w dzieje bogatem jest miasteczko Stolin. Tworzyło ono niegdyś starostwo stolińskie, które przechodziło od XX. Sołomereckich (wiek XVI), poprzez Paców, XX. Wiśniowieckich, Pociejów, Sołtanów (Adam Sołtan spowodu udziału w powstaniu stracił majątek), Korzeniowskich — aż do Haszlakiewiczów, w których posiadaniu jest resztka dóbr. Dwór został spalony.

W roku 1817 wzniósł Kajetan Korzeniowski murowany kościół, zamieniony w r. 1852 na cerkiew z przybudówką kopuł. Dopiero w r. 1923 odzyskali go prawi parafjanie. Więcej pamiątek nie zachowało się.

Trzeciem ciekawem miasteczkiem Polesia jest Janów, miejsce śmierci bł. Andrzeja Boboli, mającego być wkrótce kanonizowanym. Na miejscu stracenia stoi kolumna ku czci „apostoła Pińszczyzny", odnowiona niedawno przez p. Henryka Skirmunta z Mołodowa. Szkoda, że dokumenty dotyczące życia i śmierci uczonego Jezuity wywiozło Bractwo Stow. Jezusowego do Holandji, uchodząc z Polesia przed prześladowaniem.



Horyń w okolicy Stolina.

Wszystkie zdjęcia: Ksawery Niedobitowski, Morszyn

Panami Janowa byli ongiś ks. Szujscy, następnie Orzeszkowie. Istniała tu niegdyś szkoła parafjalna, którą opiekowali się XX. Marjani. Oprócz kolumny błog. A. Boboli godnym uwagi jest kościół murowany, powstały z inicjatywy ks. Franciszka Pallulona w r. 1848. Car Mikołaj I ofiarował przez niego, osobistego swego przyjaciela, obraz św. Katarzyny, do dziś dnia w świątyni janowskiej się znajdujący.

Ksawery Niedobitowski.



Pałac hr. Broel-Platerów w Worobinie.

3 x Loda Halama

Samotną gwiazdą" nazwali Lodę Halamę w tym roku letnicy w Żegiestowie. Unikała towarzystwa, bo najlepiej wypoczywa po nerwowym życiu teatralnym zdala od ludzi. Pozatem, jako osoba dość sentymentalna (ktoby o tem pomyślał?) lubi godzinami chodzić po ustroniach. Nie dba wtedy o strój, chodzi boso, nieumalowana, gładko uczesana, poprostu zapomina, że jest gwiazdą, która wśród ludzi musi dbać o siebie i na każdym kroku uważać na strój, sposób bycia itd. Cieszy się najbardziej, gdy na pewien czas może zrzucić z siebie jarzmo popularności, co zresztą nie zawsze się udaje. W tym roku np. miała taką, dość zabawną przygodę. Jak zwykle wybrała się do lasu zupełnie sama. Po kilku godzinach spacerowania zauważyła, że jakiś student idzie za nią w pewnem oddaleniu i pilnie się jej przygląda. Początkowo nie zwracała na to uwagi, choć czuła, że młodzian ów ma wielką ochotę zaczepić samotną panienkę, może dla flirtu, może dla towarzyskiej wymiany zdań — kto wie! Ponieważ jednak trwało to dość długo i wkońcu zaczynało być denerwujące, „samotna gwiazda" skierowała swe kroki ku domowi. Młodzieniec szedł za nią, wciąż bacznie się jej przyglądając. Gdy wreszcie Loda doszła do swego pensjonatu, stanęła przy progu i odwróciła się. Widząc zakłopotanie swego „prześladowcy", uśmiechnęła się. Widocznie to dodało mu otuchy, dość, że podszedł, skłonił się elegancko i powiedział: — „Bardzo Panią przepraszam, że ośmielam się ją zaczepić, ale ja Panią gdzieś widziałem, znam Panią ale nie mogę sobie w żaden sposób przypomnieć, kim Pani jest? Czy Pani nie była czasem w Chorzowie?..

Halama roześmiała się. Nie chciała się zdradzić. Nie chciała powiedzieć swego nazwiska, więc rzekła krótko: Owszem, byłam tam z koncertem.

To wystarczyło. Student jednak zareagował w zupełne nieoczekiwany sposób. Zamiast, normalnie, po ludzku przedstawić się i przywitać, najpierw zczerwienił się, potem zbladł i wykrztusił: ...Paani Loda?!... Halama?...

Poczem błyskawicznie odwrócił się i kłusem zaczął uciekać, i tyle go Loda widziała.

Popularność wlecze się, jak cień za człowiekiem i skoro się raz ją zdobyło, trudno jej się pozbyć. A że Loda jest i w kraju i zagranicą popularna, świadczą jej sukcesy, choćby z ostatnich trzech lat. 1934, 1935 i 1936 rok: Japonja, Paryż, Niemcy, sukcesy w kraju, engagement na primaballerinę do Opery stołecznej, tournée po krajach bałtyckich, znów Niemcy, Francja — oto pobieżny skrót szlaku, którym szła jej sława w tym czasie.

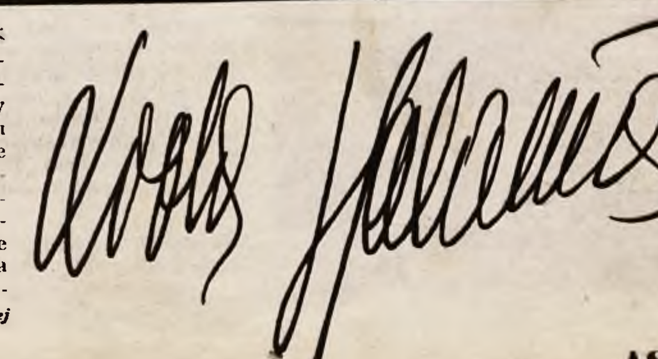
Z baletem p. Bodenwieser objechała w 1934 roku Loda Halama Tokio, Kobe, Nagasaki, Osaka i Kioto. Czteromiesięczny pobyt w kraju kwitnącej wiśni zalicza dziś Halama do najciekawszych wspomnień. O sukcesach jej świadczyły nabite sale. Bo Japończycy zupełnie inaczej reagują na piękno sztuki. Gdy my porwani entuzjazmem dajemy wyraz zachwytowi huraganami braw, publiczność japońska w milczeniu i skupieniu przygląda się występom. Od czasu do czasu tylko, gdy coś w szczególniejszy sposób oddziaływa na ich zmysł piękna, odzywają się krótkie, głośne okrzyki. No, a po przedstawieniu przychodzi się za kulisy i znów bez słów patrzy się na artystkę, ogląda się jej strój i po zamienieniu ukłonu, odchodzi. Robią to szczególnie kobiety, które nie bez celu przychodzą za kulisy; panuje tam bowiem zwyczaj, że jeśli artystka, swoja, czy obca, podoba się publiczności w szczególniejszy sposób, Japonki naśladują potem jej strój, jej ruchy, sposób bycia itd Strasznie śmiesznie wygląda potem, jeżeli taką artystkę-gościa z zagranicy zapraszają na przyjęcie; przybywszy tam bowiem, znajduje się ona

Dokończenie na str. 31-ej









SYMBOL WOLNOŚCI

Niema chyba na świecie pomnika tak popularnego, jak olbrzymia Statua Wolności, znajdująca się u wejścia do największego miasta na świecie, Nowego Jorku. Wolność uosobiona w postaci niewiasty, wznoszącej prawą rękę prosto ku górze, wita każdego, kto tylko przybywa do Nowego Jorku od strony morza. Ręka ta nie jest próżna. Dzierży ona dumnie i silnie pochodnię światła, jakgdyby symbolicznie chciała zaświadczyć, że nie masz wolności bez oświaty, jak niema prawdziwej oświaty bez swobody. Chyba żaden Europejczyk nie opisywał swej pierwszej podróży do Ameryki bez wzmianki o tym gigantycznym pomniku. Ma on przecież być wspaniałym symbolem wolności, która jest udziałem każdego mieszkańca Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Oczywiście w granicach obowiązujących ustaw. Takiego symbolu nie posiada żadne inne państwo na świecie. Jedynie jeszcze we Francji na budynkach rządowych widnieje emblemat z napisem „Liberte, Fraternitê, Egalitê". A ciekawe jest, że właśnie ten kraj, który pierwszy wypisał te hasła na swoim sztandarze w czasie Wielkiej Rewolucji i który wysłał swoich najdzielniejszych obywateli dla wywalczenia niepodległości wielkiej republiki transatlantyckiej, również w 100 lat później, to jest w r. 1886 podarował swej amerykańskiej siostrzycy ten pomnik wolności. W roku zatem bieżącym mija właśnie 50 lat od czasu, gdy pomnik ten stanął na wysepce Bedloes Island, leżącej w zatoce, która prowadzi do portu nowojorskiego.

Pomnik ten jest dziełem Francuza Bartholdi'ego, urodzonego w mieście Kolmar. I oto dla uczczenia tej rocznicy wysłali Francuzi w bieżącym roku specjalną deputację z Kolmaru. Kolmarczycy przywieźli do Nowego Jorku dokument oraz album z pamiątkami po słynnym rzeźbiarzu. Album to zostało wręczone przedstawicielom Stanów Zjednoczonych na uroczystem posiedzeniu w ratuszu nowojorskim. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności na czele deputacji stał kapitan okrętu „Normandie", która w tym roku jako największy okręt francuski, zawitała do Nowego Jorku. Otóż Fryderyk August Bartholdi, twórca pomnika wolności, był stryjecznym dziadkiem kapitana „Normandie". Tradycja braterstwa obu wielkich republik została zatem utrzymana. Wiadomo, jak Amerykanie są czuli na tego rodzaju objawy sympatji i jak chlubią się tym symbolem wolności u bram swego państwa. Można więc sobie wyobrazić — z jakim entuzjazmem obchodzono uroczystość 50-lecia pomnika w Stanach Zjednoczonych.

Statua sama jest naprawdę imponującą. Mierzy ona 46 m wysokości, a ustawiona jest na cokole granitowym, dość wysokim, tak, że razem z nim wznosi się do 93 m nad poziom morza. Pochodnia, w ręce uosobionej wolności świeci w dal silnem światłem elektrycznem. Przypomnijmy sobie, że wówczas, kiedy pomnik ustawiono, były to



Odsłonięcie Statuy Wolności w Nowym Jorku w r. 1886 (wedle współczesnego sztychu).

Poniżej: Oto tak wyglądała Statua Wolności po zmontowaniu jej przez Bartholdiego w dzielnicy Montmartre w Paryżu.





Na prawo: Armia robotników przy wykańczaniu olbrzymiej głowy pomnika w pracowni Bartholdiego na Montmartre.

pierwsze lata po wynalezieniu żarówek elektrycznych. W pewnej mierze można także uważać statuę jako wyraz zwycięskiego pochodu elektryczności. Wiemy o tem, że elektryczność w tych 50 latach które minęły, stała się naprawdę potęgą i podstawą całej cywilizacji. Nieco gorzej niestety przedstawia się sprawa z wolnością. Nietylko w Europie, ale także i w Ameryce. Dawniej, jakże entuzjastycznie witali emigranci europejscy ową zapowiedź swobody w wyścigu pracy, który czekał ich na drugiej półkuli. Dzisiaj coraz mniej jest tych, którzy mogą doznawać owych wzruszeń. Ameryka bowiem zamknęła wrota swojego kraju prawie przed wszystkimi mieszkańcami Starego Świata z nielicznymi tylko wyjątkami. Tak więc symbol ten jak wiele innych symboli przeżył poniekąd ideę, którą personifikował. Dzisiaj hasła zupełnej wolności nawet w Ameryce są silnie zwalczane, a polityka Roosevelta zerwała z wielu zasadami, uważanemi do niedawna w Ameryce za dogmaty amerykańskich swobód obywatelskich. J. A.

CZŁOWIEK W WALCE Z MORZEM

BUDUJE SIĘ PORT...

Ze wszystkich budowli, jakie wznosi człowiek, największy podziw laika budzą budowle na wodzie. Łatwiej wznieść — zdawałoby się — najpotężniejszą wieżę, aniżeli niewielki choćby most, dla którego filary budować trzeba w nurtach głębokiej rzeki. A już zupełnym mrokiem tajemnicy otoczony jest sposób budowy portu morskiego, który wśród niedostępnych skał, lub wśród zdradliwych wydm piaszczystych tworzy bezpieczne schronienie dla łodzi i okrętów. Portu nie buduje się w wodzie, którą — jak w rzece — ująć można w karby regulacji. Nie można na czas budowy zmienić jej koryta; walczyć trzeba z żywiołem nieobliczalnym, kapryśnym, który każdej chwili ze spokojnej błękitnej toni zmienić się może w burzliwe pieniste piekło.

Jesteśmy narodem morskim. Posiadamy już wielki port o europejskiem znaczeniu — Gdynię. Zbudowaliśmy dwa dalsze porty rybackie — na Helu i w Jastarni. W chwili obecnej budujemy czwarty port, wprawdzie nie tak potężny jak Gdynia, bo o przeznaczeniu zasadniczo tylko rybackiem, lecz tem ważniejszy, że



Potężne kafary motorowe wbijają słupy w dno morza pod molo portu rybackiego w Wielkiej Wsi-Hallerowie.
Fot. Alfred Świerkosz — Wielka Wieś.



Na lewo: *Na pierwszym planie palisada, czyli zewnętrzny rząd pali, które wbito gęsto jeden przy drugim — w głębi pierwsze belkowanie poziome.*
Fot. R. Burzyński.

Poniżej: *Po ułożeniu pierwszej płyty żelbetonowej przygotowano pręty żelazne pod boczne ściany betonowe mola portowego.*
Fot. R. Burzyński.



będzie to pierwszy port polski na pełnym Bałtyku. Godzi się zatem, abyśmy choć w pobieżny sposób zaznajomili się z tą niedostępną dotychczas tajemnicą — z techniką budowy portu.

Uprzedzić muszę, iż Czytelnika spotka napewno rozczarowanie. Jakto, takie to wszystko proste? Tak, istotnie. Proste i wcale nieskomplikowane. Ten sam okrzyk wydarł mi się z ust wówczas, gdy zwiedzałem budowę naszego portu morskiego w Wielkiej Wsi. Dzięki uprzejmości kierownictwa budowy, pozostającego w rękach Urzędu Morskiego, miałem możność zapoznania się z wieloma szczegółami prac, postępujących w porcie tym obecnie naprzód w tempie iście amerykańskiem.

Port powstaje — mówiąc w ogólnych zarysach — bądź przez wkopanie się w ląd, bądź przez budowę pomostów od brzegu morskiego wgłąb morza. Mowa jest naturalnie o portach sztucznych — porty naturalne powstają przy ujściach rzek (np. Gdańsk), bądź w dogodnych dla tych celów zatokach morskich. Gdynia powstała częściowo przez budowę pomostów na morzu, częściowo zaś przez wykopanie sztucznej zatoki morskiej. Kwestja zdecydowania się na jeden lub drugi system budowy związana jest ściśle z ukształtowaniem się wybrzeża morskiego.

Pomosty ustawiane na morzu są dwojakiego rodzaju — kesonowe i... poprostu drewniane. Należy zaznaczyć, iż — jeśli chodzi o wytrzymałość — pomosty drewniane nie są gorsze od kesonowych. Drzewo zanurzone w wodzie, zwłaszcza w wodzie morskiej, zawierającej wiele dobrze konserwujących soli, jest wieczne. To określenie „wieczne" nie jest zwrotem literackim — ale może być zrozumiane dosłownie. Mamy wiele przykładów, ot, choćby polskie wykopaliska pod Biskupinem w Poznańskiem, gdzie znaleziono pod wodą pale drewniane doskonale zakonserwowane, w wieku conajmniej tysiąc lat. O budowie pomostów kesonowych - żelbetonowych, czy drewnianych, to jest ustawionych na palach wbitych w dno morskie, decyduje nie kwestja — powiedzmy tego, czy port ma być „ważniejszy, lepszy", czy „gorszy", lecz tylko głębokość dna morskiego; przy głębokościach większych lepiej się opłacają pomosty kesonowe, przy płytszych drewniane.

Aby omówić wszystkie zagadnienia związane z techniką budowy portu, należałoby napisać nie po-

Poniżej: Praca przy betoniarce na molu. *Fot. R. Burzyński,*



pularny feljeton, lecz cały tom naukowego dzieła. Ograniczmy się zatem do zapoznania się z budową mola (pomostu portowego) drewnianego, to jest takiego, jakie powstaje w Wielkiej Wsi, w porcie najwięcej zajmującym w chwili obecnej opinję publiczną. (Zaznaczam w tem miejscu, że w porcie gdyńskim połowa całego nadbrzeża południowego zbudowana jest tym samym systemem, tj. na palach drewnianych). Godnym podkreślenia jest fakt, iż w Wielkiej Wsi zastosowano niektóre ulepszenia budowy po raz pierwszy, jako wynik studjów naszych polskich inżynierów portowych.

Pierwszem stadjum mola drewnianego jest wbijanie pali; używa się do tego celu drzewa sosnowego. Pale mają długości od sześciu do dziesięciu metrów — zależnie od głębokości morza w danem miejscu. Obliczenia długości pali idą w tym kierunku, aby pal wbić w ziemię, w dno morskie na cztery do pięciu metrów. Wbity pal wystaje ponad powierzchnię wody zaledwie kilkanaście centymetrów. Ta część pala, wystająca nad poziom wody jest zresztą najbardziej narażona na zniszczenie — wszakże część niezanurzona pozbawiona jest owego dobroczynnego wpływu konserwacyjnego, jaki wywiera woda morska. Podkreślę tu jeszcze, iż jedynem niebezpieczeństwem dla drzewa pozostającego długi czas w toni morskiej są pewne odmiany skorupiaków morskich, niespotykanych jednak na szczęście w Bałtyku.

Pale wbijają specjalne młoty zwane kafarami. Wbicie pala, na głębokość czterech metrów, zależnie od twardości gruntu, trwa osiem minut do czterech godzin. Jak widzimy, rozpiętość czasu olbrzymia. Pale idą w pięć rzędów. Trzy rzędy środkowe składają się z pali wbitych pionowo, w odległościach co dwa metry. Dwa rzędy boczne, t. zw. palisady, wbite są ukośnie. Robi się to w tym celu, aby stworzyć szerszą u dołu, a zatem mocniejszą podstawę przyszłego pomostu. Pale palisady wbija się ściśle jeden przy drugim.



„Czoło" wschodniego mola portu rybackiego w Wielkiej Wsi-Hallerowie z widokiem na brzegi Międzymorza.

Fot. Alfred Świerkosz — Wielka Wieś.

Aczkolwiek mówi się popularnie „molo drewniane", jednak drzewo nie jest zasadniczą częścią składową pomostu. Powinno się mówić — molo kamienne — bowiem całą przestrzeń pomiędzy jedną a drugą palisadą zapełnia się kamieniem. Silną, trwałą podstawę, na której ma spocząć górna część pomostu tworzy zatem nie drzewo, lecz kamień; pale drewniane spełniają więc zadanie raczej jakby ścianek pudła, w kórem zapakowano materjał zasadniczy. O olbrzymiej ilości kamienia, jakim zapełnia się wnętrze podwodnej części pomostu świadczy fakt, iż do budowy portu w Wielkiej Wsi, portu niewielkiego (ogólna długość pomostów wynosić będzie około 1500 metrów), użytych będzie 40 tysięcy metrów sześciennych kamieni.

Zanim kamienie zostaną pomiędzy palisady wrzucone, kładzie się na dno morskie faszynowe materace. Jest to nowy pomysł, dotychczas jeszcze nie stosowany. Ponieważ dno morskie w tej części naszego wybrzeża jest wyłącznie piaszczyste, zachodziła obawa, iż wrzucone kamienie będą z biegiem lat grzęznąć w piasku. Zapobiegną temu właśnie owe materace. Składa je pewien specjalista, pracujący dotychczas przy regulacji Wisły. Drugą nowością, zastosowaną przy budowie portu w Wielkiej Wsi jest pionowa ścianka z desek ułożona na całej długości mola. Zapobiegnie ona zapiaszczeniu basenu portowego przez piasek, który mógłby się przedostawać od strony morza przez szczeliny pomiędzy kamieniami. Zaznaczam, że kamienie nie są niczem spajane.

Gdy w ten sposób wykonano całą część podwodną, przystępuje się do budowy części pomostu wystającej ponad wodę. Ta część jest już wyłącznie żelbetonową. Jest ona narażona najbardziej na uderzenia fal morskich, musi więc tu być użyty materjał specjalnie trwały i odporny. Tutaj prace mają trzy fazy — najpierw kładzie się płytę żelbetonową poziomą, ułożoną bezpośrednio na belkowaniu podwodnem, następnie buduje się dwie ściany pionowe, zewnętrzną, wyższą, zwaną falochronem i wewnętrzną, tj. od strony basenu. Lukę między temi dwiema ścianami zapełnia się piaskiem. Nakoniec wreszcie idzie ostatnia nawierzchnia, na której co kilkanaście metrów ustawione są zaczepki dla sznurów okrętowych. Szerokość tej części żelbetonowej wynosi blisko sześć metrów. Najwyższa wysokość falochronu od poziomu wody do szczytu trzy i pół metra.

Mola zamykają wielkim półkolem obszar zwany basenem portowym. Pozostawia się jedynie wąskie przejście dla statków.

Gdy port jest gotów, a na końcowych punktach pomostów zaświecą w oczy kolorowe światła pozycyjne, gdy w czasie burzy znajdą tutaj schronienie ludzie, rzuceni na pastwę losu wśród zburzonej toni morskiej, zatriumfuje znów genjusz ludzki, który tak prostemi środkami ujarzmić potrafił wszechpotężny żywioł — m o r z e !

Roman Burzyński.

Schematyczny przekrój
drewniano-kamiennego mola portowego.





FILOZOFIA RYBAKA: chwyci przynętę — czy nie chwyci?

Fot. R. Gotsche — Prag

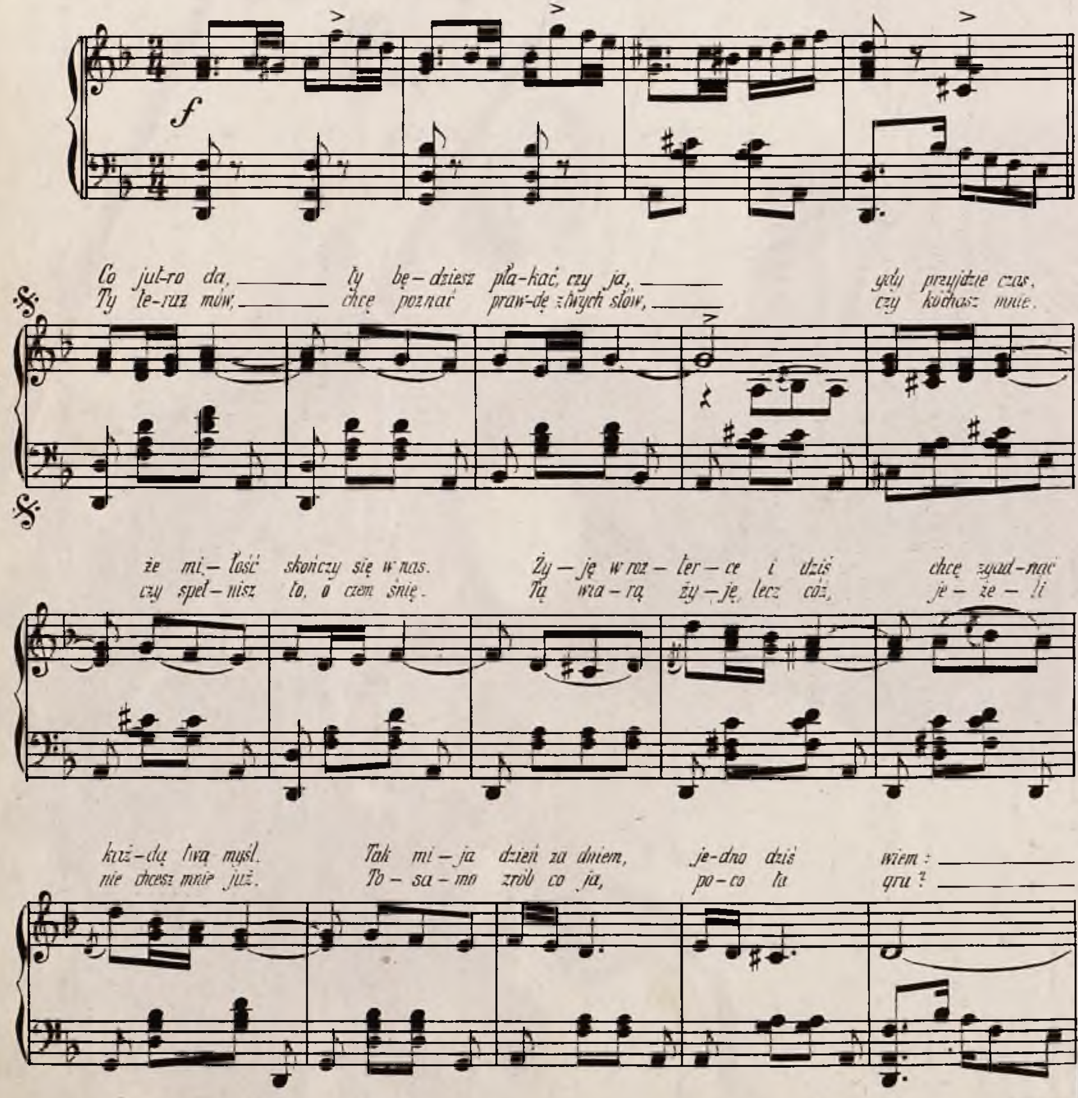
NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY

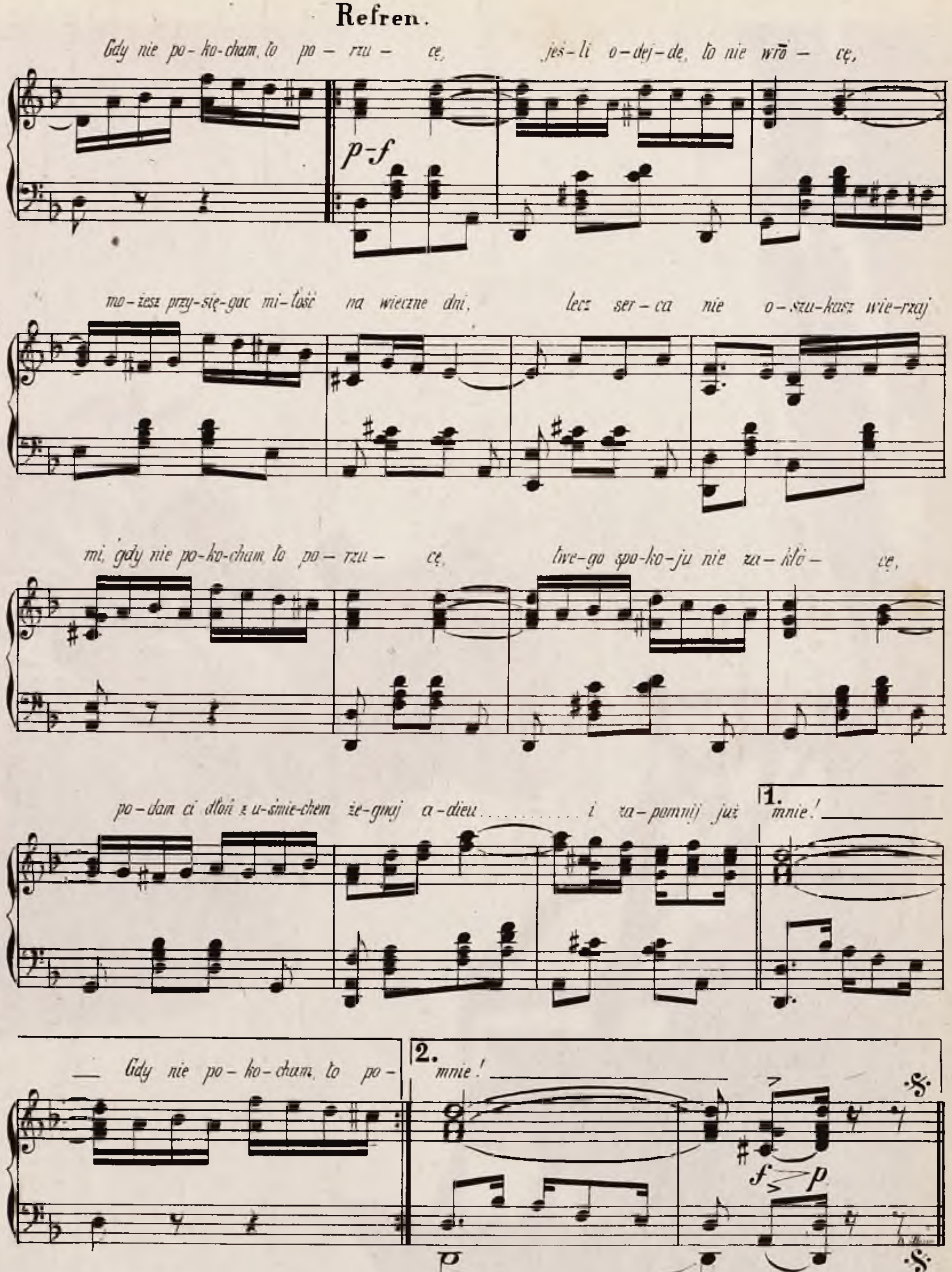
„GDY NIE POKOCHAM, TO PORZUCĘ"...

TANGO

Słowa ANDRZEJA WŁASTA

Muzyka WŁADYSŁAWA GÓRZYŃSKIEGO







KAPITAN „FAI-TSI-LONGU"

ODCINEK 15.

Napisał H. WILD — POWIEŚĆ — Tłum. JULJA RYLSKA

Wyszli po drabinie na pokład — w milczeniu przesunęli się koło nas i rozeszli się po mrocznych kątach — nie myśląc wcale o schodzeniu do kajut na spoczynek. — Harcourt widocznie wydał im taki rozkaz — pomyślałem.

Wtedy zabrzmiał głos mego przyjaciela — tak nagle — taki ostry i suchy, że aż wzdrygnąłem się...

— A więc odmawia pan zezwolenia, by pani ta pozostała na statku?

— By Jove! — Cóż to?! — Czy nie powiedziałem już tego — i dosyć wyraźnie?! — Czy pan kpi sobie ze mnie?

— A dlaczego nie zgadza się pan na to?

Mówiąc to Harcourt stał nieporuszony, z rękami w kieszeniach bluzy; pochylił tylko lekko głowę naprzód. Młoda kobieta nie drgnęła — nie odjęła rąk od twarzy — pogrążona w rozpaczy.

— Dlaczego? — powtórzył kapitan. — Sam pan mi to już raz powiedział: ze złej woli. — Z tak złej, jak tylko może pan sobie wyobrazić! — Dlatego, że kochasz tę kobietę, mój chłopaczku — i, że jak mi się zdaje, podobasz się jej także... Dlatego, że cieszę się już, jak król, na myśl, że będziesz musiał się jej wyrzec — i to raz na zawsze... Że ta damulka będzie po wiek wieków żyła ze swoim Chińczykiem, który najpierw wygarbuje jej tęgo skórę — a potem... zmusi do uległości małżeńskiej — z wolą czy bez woli, tej pięknej pani! Bo już teraz, po raz trzeci, nie uda się jej umknąć!

Zatarł ręce i znowu zabrzmiał jego ohydny śmiech.

— Na dziesięć lat będę miał uciechy! I będę myślał przy tem o tobie — mój piękny panie zastępco. — Nigdym cię nie mógł znosić! — Będę się więc śmiał, kiedy sobie przypomnę, że wyobraźnia przywodzić ci będzie na oczy twoją bogdankę, w ramionach tej żółtej małpy — jak się wyrywa i krzyczy... Wcale ładny obrazek — he, he... Widzisz ją już teraz — co? I choćbyś mnie rzucił, choćbyś uciekł aż na Południowe Morza — zawsze

ILUSTR. AL. ŻMUDA

będę widział twoją gębę wykrzywioną na to wspomnienie, o teme mogę cię zapewnić!

A Harcourt nie drgnął nawet.

— Ostatni raz pytam: czy przyjmiesz pan tę panią na swój statek?

A tamtego zatkało aż poprostu. Ta uporczywość w nagleniu u podwładnego! — Za całą odpowiedź zdołał tylko zaprzeczyć gwałtownym ruchem. Harcourt wtedy rzekł do młodej kobiety:

— Proszę — zechce pani udać się ze mną na ląd. Niema innej rady... Musimy znaleźć jakiś sposób wyjścia... Bardzo mi przykro, że do tego doszło. — Opuszczam służbę na tym okręcie — zwrócił się skolei do kapitana.

A potwór odzyskał nagle głos i zawył:

— Hola! — Mój panie! — Daję panu rozkaz zejść natychmiast do kajuty — skazuję pana na areszt — słyszy pan? — Podpisał pan kontrakt aż do Hong-Kong! — A co do tej kobiety, sam odwiozę ją na ląd. — Tak, ja sam! — sapał ze złości. — I sam ją oddam w ręce mężowi! — Choćbym musiał tu siedzieć do następnego przypływu — czy tydzień jeszcze cały — czy miesiąc!

Wściekłość jego doszła do paroksyzmu. Zataczając się, ruszył ku młodej kobiecie. Pochwycił z wściekłością jej ręce, chcąc oderwać je od twarzy. Krzyknęła z bolu i upadła na jedno kolano.

— Wstawaj, moja piękna! — I won stąd — a prędko!

Zakipiało we mnie wszystko i już chciałem się rzucić — wmieszać się w to...

— Kapitanie! — krzyknął Harcourt. — Proszę ją puścić! — Zaraz ją puścić!!

Lecz Rekin nie odpowiedział na to; ciągnął kobietę po deskach pokładu w stronę drabinki — klnąc przy tem straszliwie. Rzuciliśmy się obaj z Harcourtem, ku nim. Harcourt dobiegł pierwszy i uderzył silnie potwora w ramię. Ten puścił młodą kobietę. Upadła bez przytomności na podłogę pokładu.

— Cóż to? — Bunt?!! — wrzasnął Rekin.

Wsunął rękę w cholewę buta i wyciągnął ją uzbrojoną w nóż. Wzniósł ramię, mierząc w pierś Harcourta. Zobaczyłeme, jak przyjaciel mój rzucił się gwałtownie w tył, wsuwając prawą rękę do kieszeni bluzy — poteme jak wyjął ją — potem błysk — i usłyszałem huk wystrzału...

Kapitan stał jeszcze chwilę — nagle rozłożył ręce, upuścił nóż i zaczął oddechać z trudem. Kula przeszyła mu widocznie płuca. Słaniając się, począł cofać się ciężko, aż doszedł tak do wylotu drabinki. Doszedłszy tam, zachwiał się i opadł na sznur, zamykający wejście na szczeble.

Instynktownie rzuciliśmy się obaj za nim, aby go zatrzymać. — Lecz nim dobiegliśmy, słaba zapora ustąpiła pod jego ciężarem — kapitan zniknął nam nagle z oczu. Usłyszeliśmy łoskot walącego się po drabinie ciała — a potem ogromny plusk...

— Rancé! — krzyknął Harcourt — do łodzi! — Rób co chcesz, a wyłów go!

XV.

Zrozumiałem, dlaczego mu na tem tak zależało. Na łeb, na szyję zbiegłem po drabinie, a za mną czterech jego ludzi, którym rzucił rozkaz. Odwiązaliśmy łódź — przepłynęliśmy wzdłuż całego boku okrętu, po stronie sterburty, nie napotykając niczego. Świeciłem latarką, próbując zbadać dno, ale woda była mętna, jak zawsze u ujścia dużeje rzeki — niepodobna było dojrzeć cośkolwiek.

Odpływ ustał, a przypływ zaczynał się ledwie; prądu nie było czuć prawie. Nie mógł więc unieść Rekina daleko ku morzu. Kazałem gruntować długą osęką dno, wokoło całego okrętu — lecz nie zaczepiła o nic. Jeśli wpadł martwy do wody, to musiał odrazu pójść na dno; o ile żył jeszcze, lecz był już nieprzytomny, to utonął natychmiast. W każdym razie, fala

musiała wciągnąć go pod kadłub statku.

Powróciłem na pokład, żarty niepokojem. Tam Harcourt, przyklęknąwszy na jedno kolano, podtrzymywał młodą kobietę, która wracała do przytomności.

— Musi już być ostatecznie wyczerpana... — rzekł do mnie.

Uniósł ją jeszcze i oparł jej głowę na swem ramieniu. Otworzyła oczy — odetchnęła głęboko. Spojrzała po nas, bezmiernie zdziwiona. Nagle po rysach jej przeszedł skurcz. — Pamięć powróciła jej nagle...

— O ten straszny, straszny kapitan — wyjąkała zdławionym głosem.

— Proszę się już nie lękać — nie lękać zupełnie. Już go niema... To ja jestem teraz kapitanem Fai-Tsi-Longa.

Wyprostowała się na te słowa i zwróciła twarzą do niego, wpatrując się weń z wyrazem trwogi i niedowierzania. On zaś powtórzył:

— Ja jestem kapitanem Fai-Tsi-Longa — i pani pozostanie tu, na okręcie. Za chwilę ruszymy do Hong-Kong — staniemy na europejskiej ziemi...

Patrzyła na niego, jakby jej mówił o szczęściu, w które uwierzyć trudno.



Siedziała na łóżku, wsparta na obu rękach...

Chciała wstać. Pomógł jej i trzymał ją dalej, opartą na swem ramieniu.

— Proszę pozostać tak — rzekł. — Bardzo pani jeszcze osłabiona.

Musiała czuć się rzeczywiście bardzo słabą, skoro nie odsunęła się od niego. Dziwną tworzyli grupę: ta piękna kobieta, w przebraniu chińskiem — jakby w uścisku jego ramion... Widziałem jak bardzo był wzruszony i jak walczył ze sobą, żeby nie zmknąć w uniesieniu tych ramion wokoło niej, nie porwać jej — nie unieść — nie szaleć... A ona pytała jeszcze, ciągle zaprzątnięta jedną myślą:

— Ale jakże się to stało? Przecież przed chwilą groził mi, wlókł mię po ziemi...

Zadrżała ze wstrętu na wspomnienie dotknięcia rąk potwora.

— To już skończone — mówił cicho Harcourt. — Skończone! Nie trzeba już myśleć o tem! — Wytłumaczę pani wszystko, jak pani wypocznie. Narazie niech wystarczy pani, że tego człowieka niema na okręcie... Pojechał w inną podróż — w daleką podróż — dodał ironicznie. — Nie miał prawa przywłaszczać sobie władzy nad panią! Przekonałem go o tem...

— A on dał się przekonać panu? — Tak prędko? — Bo przecież nie leżałam długo bez przytomności...

— Tak, dał się przekonać, zaraz — zapewniał ją, patrząc na mnie z dziwnym wyrazem w oczach. — Właśnie kiedy pani leżała w omdleniu... Nie dyskutowaliśmy długo... Pani tego nie zrozumie — ale między marynarzami to tak...

— Wszystko to wydaje mi się dziwnem... I za pięknem — uśmiechnęła się.

— Dość już o tem — zawyrokował, starając się nadać słowom swoim żartobliwą stanowczość. — Trzeba nam odbić od brzegu. Proszę, niech pani zejdzie z pokładu. Przeszkadzałaby nam pani w manewrowaniu statkiem.

Była rzeczywiście bardzo osłabiona i wyczerpana. Sprowadziliśmy ją do kabiny, którą dotąd zajmował Harcourt.

— Niezbyt tu paradnie — rzekł z uśmiechem. — Chciałbym dać do użytku pani najbardziej luksusową kabinę! Ale na bezrybiu i rak rybą... Spokojnej nocy, życzę w niej pani.

Niepokój nie opuścił jej jednak jeszcze zupełnie.

— Naprawdę? — Ten człowiek nie może zrobić mi już nic złego?

— Ależ nie! Nie wróci już tutaj. — Proszę się położyć na tem łóżku i zasnąć. — Ja tu jestem teraz kapitanem — i ja rozkazuję. Tak jak mówił ten drań: jestem — po Bogu — jedynym panem na moim pokładzie...

Wyciągnęła się na łóżku i uśmiechnęła do nas. Lecz nagle uśmiech zniknął z jej ust.

— Co panią jeszcze trapi? — zapytał miękko Harcourt.

— A Mr. Koo? — Kapitan może dać mu znać... Może jeszcze zdąży, zanim okręt ruszy! — A Hong-Kong — czy stamtąd nie będzie mógł zabrać mię znowu z powrotem do domu?

— Z Hong-Kong? — Ależ to byłoby i tak niemożliwem... A cóż dopiero teraz, kiedy Mr. Koo...

Urwał i zwracając się ku mnie rzekł cicho:

— Prędzej czy później trzeba jej będzie jednak powiedzieć... — Proszę pani — zdecydował się nagle — musi się pani dowiedzieć o czemś... To straszne — ale Mr. Koo został zabity — przed chwilą kiedy wrócił do domu... Podczas gdy porywaliśmy panią...

Zerwała się:

— Nie żyje! — Mr. Koo — nie żyje?! — zawołała.

— Czyżby pani żal było za nim?

— Żal?! — rzekła z mocą. — O nie!! — Tyle wycierpiałam przez niego... — Wstrętny człowiek! — Ale śmierć... — śmierć... — to straszne... Mówi pan, że zabity?

Siedziała na łóżku, wsparta na obu rękach i pod wpływem gwałtownego wzruszenia pozostała tak nieruchomo, z zapartym oddechem, z oczyma zapatrzonemi w próżnię. Musiała wracać wspomnieniem w przeszłość... Zdaje mi się, że każda kobieta mimowoli musi myśleć o chwili, w której jako młoda dziewczyna, oddała się po raz pierwszy mężczyźnie, choćby człowiek ten stał się jej potem wstrętny...

— Nie żyje! — Tak prędko... — wyszeptała wreszcie.

— Tak. Śmierć przychodzi jak złodziej — rzekł Harcourt. — Nie jeden, który dziś zobaczył wstający dzień, nie ujrzy jutrzejszego świtu... I to przez panią — dodał z wielką powagą — przez panią...

I jakby się zląkł tonu, jaki przybrała rozmowa, skończył pół serjo, pół żartem:

— Widzi pani, jaką pani jest ważną osobistością na tym świecie!

Zakręcił się po kabinie i obok łóżka położył na krześle jakiś pakunek:

— Tu są europejskie suknie. Kupiłem je w Szanghaju, w przewidywaniu, że przydadzą się pani. Bo myślę, że musi pani nienawidzić stroju, który ma pani na sobie w tej chwili... Chociaż niemniej jest pani czarującą w nim, jak w każdym innym... Znajdzie tu pani także wszystko, co potrzeba; gdyby jakieś poprawki okazały się potrzebne. Proszę zasnąć spokojnie i myśleć tylko o tem, że pani jest wolna!

Uśmiechnęła się do niego dobrym, dziecinnym uśmiechem — i podała mu rękę. Podniósł tę rękę do ust — i wyszliśmy z kabiny.

— Więc — począł pytać skwapliwie — nie znaleźliście go! — Spodziewałem się tego... Głupia historja, jeźli odnajdą go po naszym wyjeździe... Przypływ popchnie go ku miastu...

— Ale ujście rzeki jest szerokie — pocieszałem go — a odpływ może unieść go ku morzu.

— Albo zapędzić do brzegu...

— Czy myślisz, że to takie groźne? — Jeśli odnajdzie go kto, to chyba rybacy...

— Właśnie... Gdyby to był trup Chińczyka, nie przejęliby się tem i zostawiliby go na pastwę żółwi. Ale Europejczyk... Wyłowią go i zawiozą do miasta, w nadziei, że im za to zapłacą.

— Można — zaryzykowałem — zapisać w dzienniku okrętowym jakąkolwiek bujdę. — Kapitan znikł nagle, przed wyruszeniem okrętu — pijany wpadł do wody —

— Zapominasz, że ma kulę w piersi...

Argument ten zbił mię z tropu. Jak wytłomaczyć tę kulę, jeśli ciało odnajdą?

— Trzeba jednak coś wymyślić — zaczął Harcourt. — Kapitan zginął zamordowany: ostatecznie mogę powiedzieć, jak było — że zaatakował mię. W obronie osobistej... Bo tak było! — Wszystko jedno — zrobi to zawsze niedobre wrażenie... — rzekł po chwili. — Będę mógł wprawdzie powołać się na ciebie, jako świadka...

— A załoga?

— Załoga? — nikt z nich nie piśnie słowa! — Ilu ich jest, każdy byłby go chętnie sprzątnął — gdyby miał odwagę... W tej chwili wszyscy już wiedzą co się stało — możesz być pewny!

(Ciąg dalszy nastąpi).

DOLCE FAR NIENTE...

Mary Casidy, Marta Merrill i Maxime Nash odpoczywają po zdjęciach w studio „Warner Bros".





POD ZNAKIEM POMIDORÓW





Pomidory nadziewane serem szwajcarskim.

Sałatka pomidorowa: wymyte, surowe pomidory, kraje się w talarki, układa na półmiseczku, ozdabiając krążkami cebuli surowej, posypując pieprzem i kropiąc silnie octem. Wyborna nietylko do ciepłych i zimnych mięs, ale także do chleba z masłem czy jaj na szynce.

Hiszpańska sałatka pomidorowa: obrane z łupki surowe pomidory (przedtem sparzyć wrzącą wodą), zielone ogórki i cebulę, kraje się w talarki, układa na półmiseczku warstwami i zalewa majonezem z oliwy, soku cytrynowego, soli i pieprzu.

Zimna przystawka z napełnianych pomidorów: ścina się czubki pomidorów, wydrąża i napełnia je sałatką jarzynową lub jakąkolwiek inną. Napełnione pomidory przykrywa się wieczkami, ustawia na półmiseczku i oblewa majonezem, z którym przyrządzona była sałatka wewnątrz.

Pomidory nadziewane mięsem: wydrążone pomidory napełnia się siekanem mięsem, przyprawionem z bułeczką w mleku moczoną, żółtkiem, solą i gałką muszkatułową. Następnie dusi się je pod przykryciem i podprawia jasną zasmażką.

Pomidory nadziewane serem szwajcarskim: wydrążone pomidory napełnia się krajanym w drobną kostkę serem szwajcarskim i dusi na maśle pod przykryciem na blasze lub w rurze, przyczem ser rozpuszcza się w delikatny krem.

Pomidory faszerowane szynką i purée ziemniaczanem: wydrążone pomidory napełnić trochę siekaną szynką dopełnić i nakryć czapeczką z purée ziemniaczanego (ugotowany talerz ziemniaków zaprawić jajem, łyżką mąki, gałką muszkatułową i posolić). Tak przyrządzone pomidory zapieka się w rynce, wysmarowanej masłem, w gorącej rurze.

Pomidory z jajami: wydrążone pomidory ustawiać na grzankach z bułki, smarowanych masłem. Do każdego wbić surowe jajko i przykryć płatkiem tłuszczu ze szynki. Tak przygotowane grzanki kłaść na formę blaszaną, wysmarowaną masłem i zapiec w rurze.

Pomidory z beszamelem: pokrajane na połówki pomidory solić i układać na dobrze wysmarowanym masłem ogniotrwałym półmisku, potem zalać sosem beszamelowym, przygotowanym z łyżki masła, roztopionego z kopiatą łyżką mąki, zaciągniętego dwiema szklankami słodkiego mleka lub śmietanki, do którego po przestygnięciu wbija się 4 żółtka i wsypuje 3 łyżki utartego parmezanu. Na wierzch beszamelu posypuje się jeszcze sera i tartej bułki i trochę grudek masła. Upieczone podaje się na tym samym półmisku.



Pomidory z beszamelem.

Makaron z parmezanem i pomidorami: surowe, wydrążone pomidory napełnia się masą przygotowaną z krajanej rzodkiewki, białych bułek, okrojonych ze skórki i majonezu. Tak napełnione pomidory układa się wokół półmiska z makaronem, posypanym parmezanem i polanym suto rumianem masłem.

Pomidory zapiekane w kapuście: wysmarować ogniotrwały półmisek masłem i poukładać na nim pokrajane w talarki, pomidory. Na to nałożyć masę, przygotowaną poprzednio z główki białej kapusty, którą szatkuje się drobno, zasypuje solą i zostawia na godzinę, aby skruszała. Potem wyciska się ją mocno, zagotowuje z wodą i odcedza, aby wystygła. Do ostudzonej wbija się dwa dobrze rozbite jajka, dodaje soku z cytryny i masła. Forma czy półmisek, w którym się to piecze, nie może być całkiem wypełniony, bo kapusta podrośnie w pieczeniu. Po upieczeniu podać na tym samym półmisku, polewając masłem.

Pomidory wypiekane z kaparkami: wysmarowaną dobrze masłem i wysypaną bułką formę, wyłożyć cienką warstwą utartych gotowanych ziemniaków, potem wbić odpowiednią ilość jaj, uważnie, aby żółtka nie porozlewały się. Jaja posypać kaparkami i tartą bułką i na nie nałożyć delikatnie warstwę pomidorów krajanych w talarki i ziemniaków. Jeżeli potrzeba większej ilości tej potrawy, powtarza się raz jeszcze warstwę surowych jaj z kaparkami i bułką, nakrywając ją pomidorami i ziemniakami. Na wierzch dać jeszcze dość dużo masła w kawałkach i upiec w gorącym piecu przez 10—15 minut.

Pomidory z serwolatkami: upiec na oliwie w rurze na patelni duże pomidory, pokrajane na połówki. Osobno usmażyć w oliwie pokrajane w talarki surowe ziemniaczki na jasno-żółty kolor, ale niezbyt chrupiąco. Na małym ogrzanym półmiseczku ułożyć ugotowane serwolatki, pomiędzy nie dać przygotowane i ociekniętе z oliwy ziemniaczki, a na nie układać pomidory, lekko skropione paru kroplami oliwy, posypane pieprzem i odrobiną tartego czosnku.

Pomidory z grzybami: połówki du-



Pomidory faszerowane szynką i purée ziemniaczanem.



Makaron z parmezanem i nadziewanemi pomidorami.



Pomidory faszerowane grzybkami.



Pomidory z serwolatkami.

żych pomidorów wydrążyć z pestek i ustawiać w formie, wysmarowanej dobrze masłem lub oliwą. Osobno udęstować grzybki z cebulką na maśle. Kawałeczek chleba (wielkości jaja) namoczyć w buljonie, rozdrobić, wymieszać z dwoma żółtkami, siekaną pietruszką, pieprzem i solą. Tak przygotowaną masę chlebową rozmieszać z udęstowanemi grzybkami i nakładać do każdego pomidora dobrą łyżkę tego farszu. Wszystko posypujemy tartą bułką, kropimy każdy pomidor oliwą i wstawiamy potrawę do średnio gorącego pieca na godzinę.

Jaja sadzone na purée pomidorowem: zasmażyć pokrajaną cebulę w dwóch łyżkach masła, dodać 6 pokrajanych pomidorów i dusić do zupełnego rozgotowania pomidorów. Przetrzeć masę przez sito. Takie purée zaprawia się trochę mąką ryżową i odstawia na kilka godzin do chłodu, a przed samem wydaniem daje się na półmisek wysmarowany masłem, robi się na powierzchni sześć zagłębień i do każdego z nich wbija się po jednem surowem jajku. Całość posypuje się parmezanem i wstawia do gorącego pieca, trzymając w nim tak długo, aż się jaja całkiem zetną.

Musztarda pomidorowa: rozgotować 40 pomidorów z jedną cebulą i przetrzeć przez sito. Dodać 34 dkg cukru, pół litra winnego octu i na koniec noża angielskiego korzenia i zwyczajnego pieprzu, papryki, gałki muszkatułowej, białego imbiru. Nieco więcej dać cynamonu. Gotować tę masę pół godziny, zależnie od uzyskanej gęstości. Na końcu dodać łyżkę francuskiej musztardy, dobrze rozmieszać ją i odstawić naczynie z ognia. Na drugi dzień składać musztardę pomidorową do słoików.

Marmolada z pomidorów: rzucić pomidory na dwie minuty do gotującej się wody. Wyjąwszy, obciągnąć je ze skórki i zasypać w obszernem naczyniu miałkim cukrem, funt pomidorów, funt cukru. Na drugi dzień rano wyjąć pomidory, a pozostały sok gotować i szumować, następnie rzucić doń pomidory i pozostawić tak na ogniu bez gotowania przez dobre pół godziny, wrzuciwszy jeszcze drobniotko pokrajaną cytrynę bez pestek. Znów wyjmuje się pomidory, a sok smaży, aż dobrze zgęstnieje. Pomidory układa się do słoików i zalewa gorącym sokiem, poczem po wystygnięciu zawiązuje się słoiki i stawia w chłodnem i suchem miejscu do przechowania.

Przyprawa pomidorowa do zimnych dań: 5 funtów pomidorów kraje się w plasterki. Osobno należy upalić w ryneczce dwie kopiate łyżki cukru, rozpuścić go szklanką wody i zalać pomidory. Dodać dwie skrajane cebule, trochę soli i pieprzu i gotować wszystko kilka minut. Potem przetrzeć całą masę przez sito, zaprawić gałką muszkatułową i imbirem lub gwoździkami do smaku. Dodawszy do masy ćwierć litra winnego octu lub białego wina, raz jeszcze gotować masę przez kwadrans. Po ostudzeniu napełniać flaszki i sterylizować przez 15 minut przy temperaturze 90 stopni.

Pomidory marynowane: zielone pomidory, a także trochę cebuli pokrajać w plasterki. ułożyć je warstwami w ryncе kamiennej i nasolić na noc, niech postoją tak w zimnej piwnicy. Na drugi dzień przełożyć wszystko do serwety i mocno wycisnąć. Osobno zagotować wody z octem i korzeniami do smaku (goździki i cynamon), rzucić do niej wyciśnięte pomidory i zagotować parę razy. Po ostygnięciu złożyć do słoików.

Jot.

ŻYCIE
TOWARZYSKIE I ARTYSTYCZNE

MIN. BECKOWIE W JURACIE



Ostatnie dni sezonu w najmodniejszem naszem kąpielisku morskiem Juracie upłynęły pod znakiem ponownego przyjazdu ministra spraw zagranicznych Becka, który wraz z małżonką zamieszkiwał „Czerwony Domek", małą willę, położoną niemal nad samym brzegiem zatoki, obok miejscowego mola.

Na zdjęciu, które obok reprodukujemy, widzimy min. Becka z małżonką (w ciemnych okularach), która prowadzi ulubionego spaniela na smyczy, w drodze na plażę w Juracie.

Fot. K. Borkowski, Jurata

„LEKKOMYŚLNA SIOSTRA" NA SCENIE POZNAŃSKIEJ



Teatr Polski w Poznaniu wystawił ostatnio komedję Włodzimierza Perzyńskiego p. t. „Lekkomyślna siostra", graną koncertowo przez cały zespół aktorski z p. Barbarą Ludwiżanką na czele. Artystka ta ujęciem roli Ady wykazała, że skala jej talentu interpretacyjnego sięga również w sferę wybitnie charakterystycznych kreacyj. Na zdjęciu od lewej: Katarzyna Żbikowska (Helena), Roman Zawistowski (Janek) i Ludwiżanka (Ada).

WYSTĘP F. STONE'A



Na lewo: W Hollywood odbył się na dochód funduszu zapomogowego aktorów wielki festival, który uświetnił swym występem słynny komik Fred Stone i jego córka Jane. Na zdjęciu: Fred Stone, jako chochoł i jego urocza córka w stroju żołnierza cynowego.

Na prawo: Po 6-letniej nieobytności przyjechała na urlop do kraju p. Janina Lubańska, sekretarka poselstwa R.P. w Szanghaju. P. Lubańska, która jest siostrą wybitnej naszej malarki Zofji Stryjeńskiej, prowadzi szeroką działalność na polu narodowo-społecznem wśród Polaków, zamieszkałych w Szanghaju.

Fot. Juris, Krynica

„EGZOTYCZNY" GOŚĆ



O ósmej wieczór...



Noc zapada nad „miastem tysiąca świateł“... (Paryż od strony Sekwany).

Z nastaniem jesieni miasto nabiera nowego wyrazu. Zaludnia się spowrotem ludźmi, którzy rok rocznie emigrują, aby przez kilka tygodni odetchnąć górskiem czy morskiem powietrzem. Nastają długie wieczory. Wcześniej zapalają się lampy i latarnie — kolorowe neony reklam i światła samochodów. Jakież miasto nie zyskuje wieczorem? Długie perspektywy wytwornych alei nabierają specjalnego czaru w poświacie elektrycznych świateł. Po mokrym asfalcie mkną bezszelestnie wytworne limuzyny. Światła reklam kładą na wilgotną jezdnię ruchome barwne plamy.

O każdem wielkiem mieście powiedzieć można — jak o większości kobiet — że najlepej i najpiękniej wyglądają w nocy przy sztucznem świetle. Zarówno monumentalna architektura zabytkowa jak i współczesne bloki kamienic nocą nabierają jakiegoś tajemniczego wyrazu.

Kawiarnie i restauracje napełniają się znów wytworną publicznością. Z okien wystawowych biją światła. Nowe modele, nowości we wszystkiem i dla wszystkich. Rytm metropolji zwolniony w czasie letniej kanikuły wykazuje wzmożone tętno. Przed teatr co wieczór zajeżdża sznur samochodów, z których wysiadają panie w wytwornych toaletach. W dnie premjery w foyer błyszczą białe gorsy na ciemnym tle fraków — na szaragach pysznią się lśniące cylindry.

Skończył się definitywnie czas letnich swobód, kiedy w mieście chodziło się jak kto chciał, bez kapelusza, bez krawatki, byle było chłodniej i wygodniej. Z nastaniem sezonu wszystkie „swobody“ się kończą. Miasto narzuca nam swe wymogi. Wszelka wakacyjność musi ustąpić miejsca przed... galą rozpoczynającego się sezonu. Teatr — przyjęcia towarzyskie — lokale — bridż — wszędzie widzimy powrót do gali, do wytwornej elegancji, w której kanonach i przepisach kanikuła letnia wprowadziła pewne rozluźnienia.

* * *



***Na prawo:** Te dwa modele odpowiednie są na wielkie przyjęcia jesienne. Pierwszy od lewej z jasnej krepy z przypiętą do paska orchideą, uzupełniony jest plisowanym żakiecikiem z bardzo szerokiemi rękawami. Obok suknia z ciemnego chiffon'u w duże bukiety pastelowych kwiatów.*



Dla młodej panny, wchodzącej dopiero wświat, skromna sukienka z jasnego jedwabiu imprimé będzie najstosowniejsza.

Stoimy u progu jesiennego sezonu. Piękna pani wróciła z letniska, opalona, odświeżona i pełna ochoty do życia. Miasto się zaludnia... Co chwila dzwoni telefon, sypią się zaproszenia na wieczory i popołudniowe herbatki. Bridge — cocktail-party — proszone kolacje — trzebaby także wybrać się do baru, gdzie tak wesoło spędzi się noc przy muzyce i winie. Ale — o zgrozo — wszak szafa wydaje się pusta! Co tu włożyć na siebie? Parę miesięcy temu sprawione poemaciki z crêpe imprimée lub gazy wydają się już niemodne i nieświeże, a zresztą, stoimy u progu jesieni. Letnie suknie — szczególnie na wieczór, są już anachronizmem.

Jedna, druga prezentacja modeli w wielkich magazynach, parę godzin spędzonych w skupieniu nad najnowszemi żurnalami, kilka posiedzeń u swego krawca lub krawcowej, i oto piękna pani już jest pod bronią, gotowa na wszystkie ewentualności — nic jej nie zaskoczy!

A przyznać trzeba, że decyzja nie była łatwą. Co roku robi się postanowienia: „będę oszczędną, wystarczy mi dwie, trzy suknie i to skromne — czasy są ciężkie — trzeba się umieć do nich dostosować... itd.“ Ale łatwo jest postanawiać, niż wykonać. Musi się wszak mieć przynajmniej jedną typową „robe de diner“, najlepiej czarną z chiffon'u lub ciężkiego matowego jedwabiu, uzupełnioną króciutkiem bolerkiem lub aksamitnem cape (któż wchodzi do lokalu bez strojnego okrycia?!). A kostium wieczorowy? Nosiło się go już na wiosnę i w lecie, ale z jedwabiu lub z lamy, a teraz wszak wchodzą w modę prawdziwe, klasyczne smokingi z cienkiego sukna z wyłogami z jedwabiu i takiemiż lampasami wzdłuż szwu spódnicy. Jest to bardzo śmiałe, nowe i wymaga doskonałej figury. Ale niezawsze ma się ochotę na kolor czarny. Jakże tu sobie odmówić tej pięknej, choć tak pełnej prostoty tualety w najmodniejszym odcieniu lila-rose z prześlicznie drobno plisowaną pelerynką, opadającą aż do linji bioder?! Na sezon przejściowy bardzo odpowiednia będzie wieczorowa suknia czarna w pastelowe bukiety kwiatów. Delikatne ich pęki i jasne kolory przypominają jeszcze lato, a czarne tło i prosta, wysmuklająca linja nadają jej wszelkie cechy „grande toilette“. Na mniejsze przyjęcia, lub do baru, trzeba mieć również dwuczęściowy komplet: ciemna jedwabna spódnica i długi, niemal do kolan wcięty w pasie kasak z barwnego brokatu, tafty lub bardzo nowego satin ciré. Tualety z lśniących aksamitów, koronek i lamy pojawią się nieco później, na wielki sezon zimowy — więc jeszcze czas o nich myśleć.

E. M.



Przebojem jesiennego sezonu jest ten klasyczny smoking z czarnego sukna z jedwabnemi wyłogami i białym żabotem, ożywiony dużym ciemno-czerwonym goździkiem, wpiętym w klapę. Czarny jedwabny lampas na szwie spódnicy podkreśla jego męski charakter, a filuterne rozcięcie sukni u dołu łagodzi surową linję całości.

Poniżej: Wieczorem w barze bardzo ładnie wyglądają barwne kasaki z wzorzystej tafty wcięte w pasie i lekko odstające na biodrach, włożone na proste fourreau z gładkiego jasnego jedwabiu. Pamiętajmy jednak, że tylko wysokie i bardzo smukłe kobiety mogą sobie na nie pozwolić.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

RULADA BESZAMELOWA (przystawka). Zasmażyć 5 dkg masła i tyleż mąki, zupełnie jasno, zalać szklanką mleka (1/4 l.), dodać łyżkę tartego parmezanu i wymieszać na ogniu na gładką masę. Do wystudzonego beszamelu dodaje się, mieszając ciągle, 5 żółtek i tęgą pianę z 5 białek i łyżkę tartej bułki. Dla amatorów ostrzejszych potraw, można dodać jeszcze łyżkę parmezanu Masę wylewa się na masłem natartą formę blaszaną i piecze w niezbyt gorącym piecyku; po upieczeniu pokrywa się ciasto osobno przygotowanym farszem z móżdżku, szynki, szpinaku lub grzybków, zwija w ruladę, kraje w skośne kawałki i podaje możliwie gorące, posypywane parmezanem lub siekaną pietruszką.

WĄTROBA z tuczonej gęsi jest poszukiwanym przez smakoszy delikatesem. Przyprawianie jej stanowi we Francji osobny przemysł. Źle przyprawiona traci dużo ze swej wagi i swego smaku. Podajemy tu dla zainteresowanych specjalny francuski przepis: Dużą białą wątrobę wkłada się na godzinę do zimnego mleka, poczem nie płucząc, obsusza się ją serwetą, soli lekko i szpikuje dwoma parzonemi migdałami, pokrajanemi na cienkie sztyfciki. W miejsce migdałów można też szpikować cienko pokrajanemi truflami. Tak przygotowaną wątrobę okłada się szczelnie cienkiemi płatkami młodego, niesolonego bielu, owiązuje nitką, wkłada do woreczka z papieru pergaminowego, zawiązuje i włożywszy do wrzącej wody, gotuje się przez godzinę na wolnym ogniu. Wątrobę wyjętą z wody ostudza się w papierze, poczem zdejmuje się z niej papier oraz nitkę i pokrywa tłuszczem, zdjętym z wystudzonej wody, w której się wątroba gotowała.

PIECZEŃ BARANIA NA DZIKO. Szynkę, tj. dyszek barani obciąga się z błon i tłuszczu, luzuje z kości i zalewa bajcem, nagotowanym z słabego winnego octu, różnych jarzyn, cebuli, paru ziarn pieprzu i jałowca, liścia bobkowego i szklaneczki czerwonego wina. Na spód naczynia sypie się garstkę świeżych sosnowych lub jodłowych szpilek, układa pieczeń i zalewa ostudzonym octem wraz z dodatkami. Pieczeń odwraca się codziennie. Po 2—4 dniach płucze się wyjętą z bajcu pieczeń, soli i szpikuje gęsto słoninką, osmaża z wszystkich stron na maśle na ostrym ogniu i piecze następnie przy częstem polewaniu wypływającym sokiem. Po upieczeniu wyjmuje się mięso, podprawia sos 1/4 l śmietany, rozbitej z łyżeczką mąki, rozprowadza paru łyżeczkami bajcu, wkłada pokrajaną pieczeń i wstawia jeszcze na 10 minut przykrytą do niezamkniętego piecyka. Podaje się z makaronem lub kluskami francuskiemi. Sos osobno w sosjerce.

CIASTO SEROWE DO KNEDELKÓW ZE ŚLIWKAMI. 20 dkg sera twarożku, 5 dkg masła, 10 dkg mąki i 6 dkg grysiku, 2 jaja, w razie potrzeby łyżkę mleka, zagnieść na ciasto, owijać cienko śliwki i gotować przez 5 minut z jednej i 5 minut z drugiej strony. Po wyjęciu nakłuć widelcem, aby para z nich wyszła, polać masłem posypać smażoną bułeczką, wymieszaną z cukrem lub piernikiem i szybko podać, aby nie stwardły.

GRUSZKI Z IMBIREM. Proporcje: na 2 i pół kg gruszek cukrówek, 1 kg cukru i 2 dkg imbiru. Olupane gruszki przepoławia się, wyjmuje jądro i wkłada do zakwaszonej odrobiną octu lub proszku cytrynowego wody, aby nie czerniały. Następnie gotuje się je w tej samej wodzie aż się łatwo dają drewienkiem przebić. Cukier wraz z imbirem gotuje się z szklanką wody na gęsty syrop, wkłada dobrze osączone z wody gruszki i gotuje 10—15 minut. Gruszki wyjmuje się srebrną łyżką do słoja i zalewa sokiem zagotowanym na gęsto. Po 4-ch dniach zlewa się sok przegotowany ponownie i ostudzony wlewa napowrót na gruszki. Ten ostatni zabieg stosuje się dla lepszej konserwacji.

PARĘ PRZEPISÓW DLA DIABETYKÓW. (Na prośbę p. W. S. z Wilna). **KALAFIOR AU GRATIN.** Utrzeć dwa żółtka z 2 dkg masła, posolić, dodać tartego sera ementalera lub innego i pianę z 2 białek. Masą tą pokrywa się ugotowany kalafior, ułożony na ogniotrwałej salaterce i zapieka w piecyku.

KREM KAWOWY. Łyżkę mocnej kawy, 3 łyżki śmietanki, 1 żółtko, płytkę żelatyny rozpuszczonej w gorącej kawie i sacharyny do smaku, ubija się na parze na gęsty krem (nie zagotować!). Do ostudzonego dodaje się parę łyżek bitej śmietanki, wlewa wszystko do formy i zastudza na lodzie.

W miejsce kawy można wziąć łyżkę kakao lub 4 dkg mielonych parzonych migdałów, zagotowanych w śmietance.

JABŁKA W SZLAFROKU. Kruche a kwaśne jabłka kraje się w krążki, macza w pianie ubitej z białka i zmieszanej z żółtkiem, osłodzonej odrobiną rozpuszczonej sacharyny. Sacharyny nie należy nigdy używać na sucho, lecz rozpuszczoną w wodzie; w ten sposób można ją łatwiej dozować. Wiadomo, jak łatwo popsuć można potrawę za dużą ilością sacharyny). Jabłka wysmaża się na maśle i szybko podaje.

Se.. Ko.

NOWOŚCI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM

Miód jest smaczny, zdrowy i wprost niezastąpiony jako wybitnie witaminowy składnik pokarmowy. Cóż, kiedy podawanie go i spożywanie jest niemal zawsze połączone z powalaniem palców i obrusa... Śliczna pszczoła, którą reprodukujemy na zdjęciu, to miniaturowa czareczka na miód z łyżeczką. Gdy przy śniadaniu otrzymamy taką porcję miodu indywidualnie, to napewno unikniemy niepotrzebnego omiodzenia siebie czy zastawy stołowej. — Czareczka ta jest bardzo pomysłowo skonstruowana. Odwłok pszczoły, który jest tutaj naczyńkiem na miód, jest wykonany z bursztynu, ale w skromniejszych wydaniach bywa i ze szkła. Całość z białego metalu czy nawet srebra, przedstawia się nader estetycznie. Miniaturowa łyżeczka znajduje wraz z miodem, okryte przed pyłem, zabezpieczenie. w postaci odchylanych skrzydeł.



7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 37 — **Wrzesień** — Dni 30
Niedziela **6** Zachariasza	Zupa pomidorowa z kluseczkami. Rulada beszamelowa. Kuropatwy z kompotem z borówek. Strudel z winogronami. <u>Kolacja</u>: Mieszana wędlina z sałatą francuską.
Poniedziałek **7** Reginy	Zupa neapolitańska. Kalafior zapiekany w beszamelu. Pieczeń barania na dziko z makaronem i buraczkami. Muss z jabłek. <u>Kolacja</u>: Pasztet z dziczyzny.
Wtorek **8** Narodz. NPM	Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa zapiekana w sosie chrzanowym. Młoda kura duszona w pomidorach. Knedle śliwkowe. <u>Kolacja</u>: Kasza krakowska na grzybkach.
Środa **9** Gorgonjusza	Zupa jabłeczna z grzankami. Kotlety jarzynowe z sosem pomidorowym. Polędwica wieprzowa z kapustą parzonką. Szarlotka w kruchem cieście. <u>Kolacja</u>: Rydze smażone z ziemniaczkami.
Czwartek **10** Mikołaja z Toledo	Zupa rumiana Julienne. Kapusta włoska faszerowana. Dzika kaczka z kompotem ostrym z gruszek. Budyń czekoladowy. <u>Kolacja</u>: Pierożki ruskie z śmietaną.
Piątek **11** Prota	Zupa koprowa z grzankami. Omlet z parmezanem lub z grzybkami. Białe ryby duszone z sardelami w śmietanie z ziemniaczkami. Knedelki śliwkowe z parzonego ciasta. <u>Kolacja</u>: Fasolka szparagowa, rydze duszone.
Sobota **12** Gwidona	Zupa wątrobiana. Kapuśniaczki z drożdżowego ciasta. Pieczeń sarnia z czerwoną kapustą. Jabłka w cieście. <u>Kolacja</u>: Jaja w sosie musztardowym.

HOCKI-KLOCKI

Z DUCHEM CZASU.



— Czy zastałem państwa Ciapulskich?
— Państwo Ciapulscy mają teraz lekcję nowej pisowni i proszę im nie przeszkadzać!...

KWADRAT MAGICZNY.

Proponujemy czytelnikowi ułożenie magicznego dziewięciopolodratu możliwie najmniejszego kwadratu z dziewięciu kolejnych liczb podzielnych, to znaczy, że do budowy kwadratu nie można używać liczb pierwszych. — Sumy liczb trzech rzędów poziomych, trzech pionowych i obu przekątni, muszą być oczywiście równe.

POECI FRANCUSCY.

Który poeta francuski z pierwszej połowy XVIII wieku nosił największy kapelusz?

POPIÓŁ I DYM.

Oto ciekawy problem z życia codziennego: czy popiół i dym z zupełnie wypalonego cygara są cięższe czy lżejsze od samego cygara niewypalonego?

WIEK MATEMATYKA.

Na zapytanie o wiek, pewien matematyk odpowiedział następująco: miałem a^2+b^2 lat w roku a^4+b^4, miałem 2 m lat w roku 2 m^2, i miałem 2 n lat w roku 3 n^4. W którym roku urodził się ów matematyk?

INTERESY OJCA.

Ojciec wyszedł dziś popołudniu do miasta z 10 złotemi w kieszeni i wrócił z 30 złotemi. Kupił sobie nowy kapelusz i bukiet kwiatów na targu, a oprócz tego zaplombował ząb u dentysty.

Ojcu wypłacają honorarjum w piątki, a bank jest popołudniu otwarty w wtorki, czwartki i soboty.

Dentysta przyjmuje codziennie z wyjątkiem czwartków.

W soboty sklepy zamykają w południe, a w piątki niema targu.

Jaki jest dziś dzień tygodnia?

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

WŁOSKA FILANTROPJA.

Plemię murzyńskie zostało obdarzone przez włoską misję handlową stu flaszkami wódki w ten sposób, że każdy mężczyzna dostał 3 flaszki, każda kobieta 2 i każde dziecko pół. Ilu było mężczyzn, ile kobiet i ile dzieci, jeżeli wiemy że plemię liczyło 100 osób, a kobiet było pięć razy więcej niż mężczyzn?

Dokończenie ze str. 17.

w towarzystwie Japonek, ubranych jak ona i naśladujących jej ruchy, gesty itd.

* * *

Gdy Halama wróciła z Niemiec i urządziła w Warszawie pierwszy koncert t. zw. „tańca wyzwolonego", zrobiła nadzwyczajną furorę. Było to jeszcze przed Japonją. Wtedy to powstały jej najwspanialsze „numery", jak „Symfonia Rosji", „Lunatyczka", Taniec Tamary", „Mazurek chopinowski", „Zaloty chłopskie", „Wyzwolenie", „Morphium". Później doszły do tego „Carmen" w okresie pracy w Operze, „Rapsodia Liszta", „Dziewczyna cygańska". Dużym sukcesem aktorsko-tanecznym była opera „Niema z Portici", którą to rolę Halama zagrała nadzwyczajnie. Najnowszym zaś sukcesem, za który pochwaliła Lodę cała prasa i cała publiczność, był taniec jej w „Gejszy". Zagranicą zaś Loda odniosła znów triumfy w Berlinie, gdzie urządziła koncert podczas Olimpiady.

Obecnie bawi artystka w Warszawie. Niedawno zaproponowano jej wyjazd do Południowej Afryki. Propozycja bardzo nęcąca, choćby ze względu na nadzwyczaj wysoki poziom kultury tanecznej w tym kraju. Konsul Majewski z Capetown, który rozmawiał na ten temat z Lodą, zapewniał, że czeka ją tam sukces jak rzadko gdzie. Cała trudność w tem, że Loda ma trochę słabe serce i nie wiadomo, czy lekarz pozwoli jej pracować w kraju tak wysoko położonym.

Niezależnie od sukcesów tanecznych na scenie Loda Halama odniosła w ciągu tego trzechlecia kilka sukcesów filmowych, że wspomnimy tylko „Manewry miłosne" i niemiecki film „August Mocny". Obecnie znów zwrócili się do niej Niemcy z propozycją zagrania filmu w dwóch wersjach, niemieckiej i polskiej. W najbliższym więc czasie Loda ruszy znów w dłuższą podróż, która do i tak już bogatego wieńca sławy wplecie dalsze laury...

Bohdan Skąpski.

„HIGIENICZNY" FRYZJER...



NA SCENIE.

Z teatrów warszawskich pierwszy rozpoczął nowy sezon **Teatr Letni** wystawieniem krotochwili Wincentego **Rapackiego** (syna) p. t. **„Jubileusz mistrza"**. Sztuka ta, jak stwierdza krytyka, słabiutka, grana jest poprawnie, a w rolach głównych występują Gellówna, Wierzejska, Kawińska, Fentner, Daczyński, Grabowski, Borowy i młodziutka artystka Karin Tiche, która dopiero przed dwoma miesiącami zdawała egzamin w P. I. S. T.

Zawsze bardzo życzliwie usposobiony do teatru i autorów dramatycznych, Kazimierz Wierzyński, pisze o „Jubileuszu mistrza": „Spędzić wieczór na złej farsie nie jest największem nieszczęściem wśród dopustów bożych, ale wmawiać w siebie, że tak właśnie trzeba zacząć sezon, mógłby tylko ciężky szaleniec. Ta manjakalna idea przyświecała zdaje się Teatrowi Letniemu. Chory powtarzać będzie oczywiście, że to polska sztuka i że to dla honoru domu — wiadoma rzecz, nie trzeba mu przeczyć. „Jubileusz mistrza" powstał zapewne jako teatralne echo licznych w ostatnich latach jubileuszów aktorskich. Istotnie było ich dość, by trochę się niemi ubawić. — Niestety zabawy w krotochwili Rapackiego niema".

W **Teatrze Miejskim w Wilnie** graną jest obecnie komedja **Kiedrzyńskiego „Ten stary warjat"**, która spotkała się z bardzo ostrym sądem krytyki wileńskiej. Przyczyny powodzenia komedyj Kiedrzyńskiego na niektórych scenach, a w szczególności „Tego starego warjata", sztuki „drażniącej i odrażającej", dopatruje się jeden z krytyków w schlebianiu najgorszym gustom. „Ten stary warjat" to „typowa teatralna literatura brukowa", która sprawia, przy zręczności technicznej, autora, że bezkrytyczny widz łatwo strawi takie widowisko i wychodząc z teatru, mówi nawet, że się ubawił. W sztuce Kiedrzyńskiego dobrze grają Wieczorkowska, Chaniewska, Wołłejko, Neubelt, Mrożewski i inni.

W krakowskim **Teatrze im. J. Słowackiego** cieszy się powodzeniem farsa amerykańskiej spółki autorskiej p. t. **„Kible"**, która pozwala Szubertowi na stworzenie zabawnej postaci tytułowej, jedynej większej roli sztuki.

We wszystkich teatrach sztuki lżejszego repertuaru ustąpią w najbliższych dniach miejsca poważnym dziełom, które zainaugurują nowe sezony pracy. Rzecz znamienna, że na przedstawieniach, rozpoczynających oficjalnie nowe sezony, przeważać będzie Wyspiański i Szekspir.

(b).

KLUB ARTYSTÓW W PODZIEMIACH „ZACHĘTY".

Życie towarzyskie i kulturalne plastyków polskich w stolicy znalazło nareszcie swą godną siedzibę, w nowym lokalu „Polskiego Towarzystwa Artystycznego", mieszczącym się w podziemiach gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie. Dotychczas stołeczni polscy artyści wiedli koczowniczy żywot po warszawskich kawiarniach, skąd wyparły ich tłumy snobizującej się plutokracji.

„Warszawskie Towarzystwo Artystyczne" posiada już chlubną półwiekową tradycję przodowania w artystycznem życiu stolicy. Inicjatywa i myśl artystyczna promieniowała w życiu artystycznem Warszawy z działalności pożytecznego Towarzystwa, które posiadało dotąd swą siedzibę w czynszowym domu teatrów miejskich w Warszawie. Obecnie pozyskało ono w pięknym i obszernym lokalu, mieszczącym się w podziemiach Zachęty, nową podstawę do dalszego swego rozwoju. Na czele Towarzystwa stoi dziś, senior malarzy polskich, Wojciech Kossak, a sekundują mu artyści wiceprez. Modzelewski, sekr. Suchanek, Batowski oraz cała plejada ruchliwych, pełnych inicjatywy członków zarządu, który składa się z przedstawicieli zarówno starszej, jak i młodszej generacji malarzy. — W klubowo urządzonym lokalu odbywają się odczyty, wieczory dyskusyjne, koncerty oraz wystawy. Bogata bibljoteka, złożona z dzieł poświęconych historji sztuki, jak i czytelnia czasopism, dostępna nietylko dla członków Towarzystwa, ale i dla ludzi pióra. W jesiennym sezonie zamierzone są liczne wieczory towarzyskie. Seanse brydżowe odbywają się kilka razy w tygodniu. Towarzystwo zdobyło już pewną odskocznię do rozpoczęcia wytężonej działalności, w kierunku skupienia wszystkich polskich artystów stolicy i wytworzenia żywotnego, prawdziwie kulturalnego ośrodka.

STANISŁAW SZUKALSKI W KRAKOWIE.

W niedzielę, dnia 6 września w gmachu Towarzystwa Przyjaciół Sztuki w Krakowie, odbędzie się otwarcie wytawy rzeźb, rysunków i malarstwa Stanisława Szukalskiego, oraz jego szczepu „Rogate serce". Będzie to właściwie pierwszy pokaz obecnej twórczości Szukalskiego, gdyż po słynnej „3 miówce" w „Ipsie", „Stach z nad Warty" tułał się ze swą wystawą po nieodpowiednich lokalach sklepowych w Warszawie i Katowicach. Katalog wystawy obejmuje około tysiąca dzieł, w czem sześćdziesiąt rzeźb, które zdobyły już tak wielki rozgłos w kraju i w Ameryce. Wystawa Szukalskiego będzie niewątpliwie wielką sensacją artystyczną, a do Pałacu Sztuki napływać będą fale zarówno krakowskich miłośników sztuki, jak i tłumy turystów z całej Polski.

M. D. D.



Stanisław Szukalski.

To warto poznać...

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela — dn. 6. IX.

9.45: Transmisja uroczystego Nabożeństwa z Chełma z okazji „Święta Ziemi Chełmskiej".
12.03: „1000 taktów muzyki" wykona zespół Stefana Rachonia i soliści (z Wystawy Radjowej).
14.30: Audycja dla wsi.
15.30 Muzyka kameralna.
16.10: Koncert chóru im. Nowowiejskiego (z Torunia).
17.00: Koncert w wykonaniu Trio Salonowego P. R.
18.00: „Polskie katakumby" — słuchowisko.
18.30: Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry oraz solistów.
21.00: „Na wesołej lwowskiej fali".
21.30: Recital fortepianowy Ireny Kaszowskiej.
22.20: Muzyka salonowa i taneczna.

Poniedziałek — dn. 7. IX.

11.30: Audycja dla szkół.
12.23: Muzyka lekka.
16.00: Koncert popularny.
16.45: „Małe dziecko wraca z letniska" — pogadanka.
17.00: Koncert w wykonaniu solistów.
17.50: „Organizacja wolnego czasu w Anglji" — pogadanka.
19.00: Koncert zespołu Pawła Rynasa z udziałem A. Michałowskiego.
19.45: Muzyka polska.
20.30: „Włóczędzy Indyj" — feljeton.
21.00: „Nasza Marynarka gra" — koncert w wyk. Ork. Marynarki Wojennej pod dyr. kpt. A. Dulina.
22.00: Utwory na altówkę odegra Mieczysław Szaleski.
22.30: „Perpetuum mobile" — audycja muzyczna.
23.30: Muzyka taneczna (płyty).

Wtorek — dn. 8. IX.

11.30: Audycja dla szkół.
12.23: Sekstet Kameralny Niny Mańskiej.
16.00: Koncert solistów.
16.45: „Tadeusz Kościuszko" — odczyt.
17.00: Wiązanka pieśni śląskich.
17.20: Recital skrzypcowy Józefa Szigeti'ego (płyty).
19.00: Koncert rozrywkowy.
20.25: „Najrozmowniejszy odludek". — Wywiad Tadeusza Markowskiego ze Stanisławem Wasylewskim.
20.55: „Duch Wojewody" — opera.
23.00: Muzyka taneczna.

Środa — dn. 9. IX.

11.30: Audycja dla szkół.
12.23: Muzyka Strauss'ów (płyty).
15.45: „Niezwykłe przygody Jędrka i Felka". — Audycja dla dzieci.
16.15: Koncert w wyk. Orkiestry Dętej 58 p. p.
17.10: „Słynne symfonje" — VI Audycja.
17.50: „Anegdoty z życia Beethovena".
19.00: Koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R.
20.30: „Z wędrówki po prowincji".
21.00: Koncert Chopinowski w wyk. Stanisława Niedzielskiego.
21.30: Koncert kameralny w wykonaniu Trio Poźniaka.
22.25: „Rikitiki-Tavi" — fragment z „Księgi Dżungli".

Czwartek — dn. 10. IX.

11.30: Muzyka dla dzieci (płyty).
12.23: Koncert Zespołu Salonowego Pawła Rynasa.
16.00: Koncert popularny z Ciechocinka.
16.45: Społeczeństwo wojskowe", odczyt.
17.00: Koncert solistów.
17.50: „Człowiek przygotowany na wszystko" — feljeton.
19.00: Koncert w wykonaniu Polskiej Kapeli Ludowej.
20.00: Kameralny Teatr Wyobraźni: „Bajki dla dorosłych".
21.00: „Nasze pieśni".
22.15: Muzyka lekka i taneczna.

Piątek — dn. 11. IX.

11.30: Audycja dla szkół.
12.23: Muz. nowoczesna (płyty).
16.00: Koncert Orkiestry Kameralnej Adama Hermana.
16.40: „Reportaż z Polesia": „U granicy w Horodnie".
16.55: „Miłość i życie kobiety" — pieśni R. Schumanna.
17.15: Koncert kameralny.
19.00: Koncert z okazji „Tygodnia Warszawy".
20.30: „Własnemi drogami" — fragment z powieści Jana Parandowskiego.
21.00: Koncert w wykonaniu Orkiestry symfonicznej P. R.
22.15: „Mecz piosenek" — audycja muzyczna ze Lwowa.
23.00: Muzyka taneczna.

Sobota — dn. 12. IX.

12.03: „O lepszy czas bydła rzeźnego" — pogadanka.
12.23: Koncert Ork. T. Seredyńskiego.
14.30: Piosenki filmowe i foxtroty charakterystyczne.
15.45: „O ślimaczku biedaczku i inne zabawne bajeczki" — audycja dla dzieci.
16.15: „Polska wieś w piosence revellersów" -- radjokabaret z płyt.
16.45: „Stolice państw bałtyckich: „W Kopenhadze" — odczyt.
17.00: Koncert solistów.
17.50: „Wśród jezior i borów Chodzieży" — pogadanka.
19.00: Koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R.
20.15: Audycja dla Polaków z zagranicy.
21.00: Recital wiolonczelowy T. Lifana.
21.30: „Kukułka wileńska: „Niech żyje nauka".
23.30: Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.